



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Wiersze ; Wspomnienia z podróży

Author: Antoni Stabik ; Jacek Lyszczyzna (wstęp i oprac.)

Citation style: Stabik Antoni ; Lyszczyzna Jacek (wstęp i oprac.). (2013).
Wiersze ; Wspomnienia z podróży. Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu
Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja
ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach
niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci
(nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



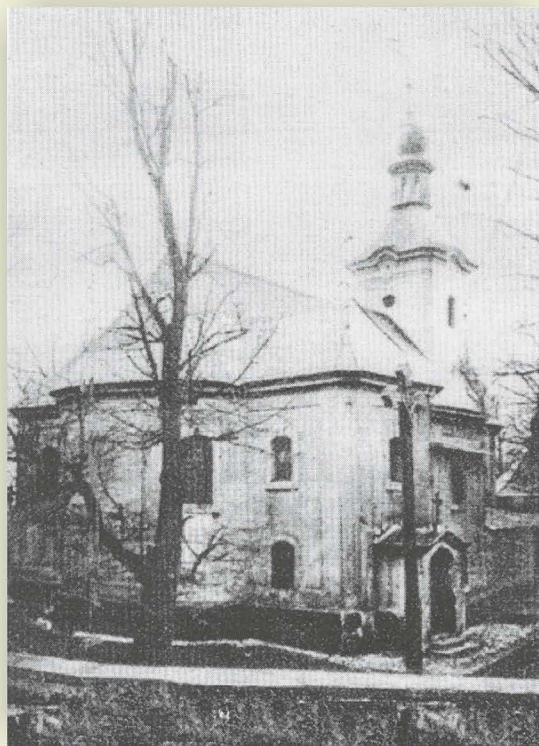
Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Antoni Stabik

Wiersze Wspomnienia z podróży



Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego • Katowice 2013

Wiersze

Wspomnienia z podróży



NR 3079

Antoni Stabik

Wiersze Wspomnienia z podróży

Wstęp i opracowanie

Jacek Lyszczyzna

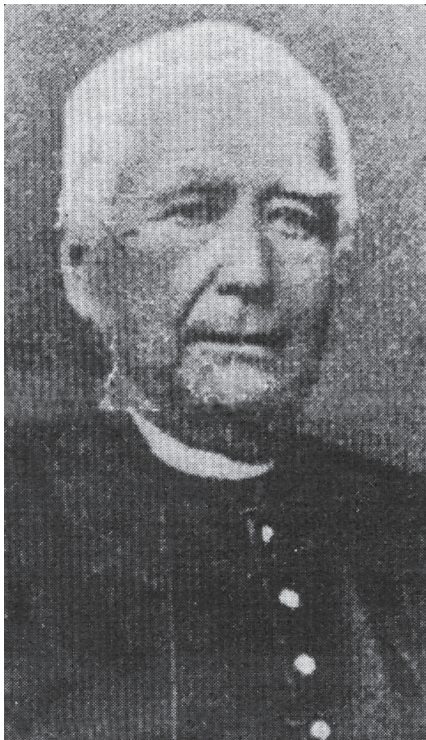


Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
Katowice 2013

Redaktor serii: Edytorstwo Naukowe
Jan Jakóbczyk

Recenzent
Krzysztof Biliński

Wprowadzenie



Ksiądz Antoni Stabik — Ślązak, kapłan, poeta

Antoni Stabik urodził się 13 czerwca 1807 r. w Mikołowie słynącym jako miasto na wskroś polskie¹. I w szkole, i w kościele używano tam wówczas wyłącznie języka polskiego, toteż czytać i pisać po niemiecku Stabik nauczył się, dopiero gdy miał 14 lat. Wychowany w skromnych warunkach, po skończeniu miejscowej szkoły elementarnej zaczął uczyć się zawodu, mając w przyszłości — podobnie jak jego ojciec — zostać szewcem. Ostatecznie jednak jesienią 1822 r. jego rodzice — Augustyn Stabik i Katarzyna z domu Drozd — posłali go do gimnazjum w Gliwicach, gdzie — zdobywając środki na utrzymanie daniem korepetycji i uczęszczając pilnie na nadobowiązkowe lekcje języka polskiego — uzyskał po 7 latach nauki świadectwo dojrzałości. Podkreślić trzeba tu rolę profesora gliwickiego gimnazjum — pochodzącego z Olesna Henryka Wolffa, który wprowadził tam język polski jako jeden z dodatkowych przedmiotów. Udzielił on też gościny Stabikowi, oferując mu u siebie bezpłatnie mieszkanie, co stanowiło ogromną pomoc dla borykającego się z kłopotami materialnymi ucznia.

Z Gliwic, gdzie 17 sierpnia otrzymał świadectwo „cum excelentia”, jesienią Stabik udał się do Wrocławia, podejmując tam studia teologiczne i w 1832 r. wstępując do alumnatu. Lata studiów uwieńczone zostały udzielonymi mu 12 maja 1833 r. święczeniami kapłańskimi.

Po krótkim pobycie w parafii w Pilchowicach jeszcze w tym samym roku 1833 trafił do Mikołowa, gdzie proboszczem był wówczas ks. Grzegorz Warwas. W swym rodzinnym mieście Stabik pełnił posługę wikarego przez 9 lat, aż do 1842 r., kiedy to został przeniesiony do Łąki koło Pszczyny, dalej jednak utrzymywał żywe kontakty z mikołowską parafią

¹ Fakty biograficzne przytaczane są tu przeważnie za pracę: J. Kudera: *Ks. Antoni Stabik. Najpopularniejszy kapłan Górnego Śląska*. Katowice 1937, powstałą na podstawie materiałów źródłowych zebranych przez ks. Emila Szramka.

i jej proboszczem. Jedną z takich okazji było dokonane 1 sierpnia 1843 r. przez biskupa Daniela Latuska, sufragana diecezji wrocławskiej, uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod główny ołtarz nowo budowanego kościoła w Mikołowie.

W Łące Stabik pełnił przez ponad rok obowiązki administratora parafii, gdyż nie uzyskał zatwierdzenia na stanowisko proboszcza. Być może jedną z przyczyn tych kłopotów — również w Michałkowicach proboszczem zostać miał dopiero po 3 latach faktycznego kierowania parafią — było właśnie to, że, jak pisał o nim Jan Kudera, Stabik „powziął sobie za dewizę obronę polskość”². Jednym z tego przejawów był jego udział w wystosowaniu we wrześniu 1842 r. przez księży dekanatu pszczyńskiego prośby do kurii biskupiej we Wrocławiu, aby podjęto starania o zwiększenie liczby studentów — Polaków oraz by w alumnacie powołano jednego z księży do prowadzenia z klerykami ćwiczeń w praktycznym opanowaniu języka polskiego. Prośba zawierała też m.in. postulat szerszego uwzględniania możliwości posługiwania się przez księży polszczyzną zarówno jeszcze podczas studiów, jak i w pracy duszpasterskiej oraz w różnego rodzaju sprawach urzędowych.

W grudniu 1843 r. ks. Stabik został przeniesiony do parafii w Michałkowicach, gdzie pełnił początkowo funkcję jej administratora, a dopiero od 16 grudnia 1846 r. — proboszcza. Okres jego pobytu na tej placówce duszpasterskiej, trwający 44 lata, aż do jego śmierci w 1887 r., przypadł na czasy niełatwe. Śląsk nawiedzały pamiętne epidemie tyfusu (1847/1848) i cholery (1855/1856), zaostrzała się sytuacja społeczna i polityczna, zwłaszcza w okresie prowadzonej przez władzę pruską w latach siedemdziesiątych polityki kulturkampf, która skierowana była zarówno przeciwko Kościołowi katolickiemu, jak i aspiracjom narodowym polskiej ludności na Śląsku. Jednocześnie dokonywał się wówczas gwałtowny rozwój przemysłu, któremu towarzyszyło szybkie rozrastanie się miast ze wszystkimi związanymi z tym procesem negatywnymi konsekwencjami. Parafia w Michałkowicach, która w momencie obejmowania jej przez ks. Stabika liczyła 4 tys. wiernych, po 25 latach zwiększyła swą liczebność trzykrotnie, toteż w 1873 r. powstała konieczność wydzielenia z niej nowej parafii w Siemianowicach,

gdzie służbę kapłańską podjął bratanek michałkowickiego proboszcza — ks. Hugo Stabik.

Był ks. Antoni Stabik osobowością niedającą się ująć w jeden schemat. Doceniał znaczenie oświaty, toteż pełniąc przez kilka lat funkcję inspektora szkolnego, z której zrezygnował w 1864 r. ze względu na nadmiar obowiązków, zainicjował budowę wielu nowych szkół. Jednocześnie pomimo pracowicie wypełnionego obowiązkami życia cenił on sobie bardzo przyjaźnie i życie towarzyskie, które też dostarczało tematów do pisania wierszy sławiących kapłańskie prymicje, jubileusze, urodziny oraz inne okazje, a także wychwalających uroki życia. Jednym z jego przyjaciół był ks. Alojzy Ficek, proboszcz parafii w Piekarach Śląskich i budowniczy tamtejszej nowej świątyni, poświęconej uroczyście w 1849 r. Ksiądz Stabik gościł często w Piekarach, również wygłaszając tam kazania. Brał też czynny udział w zainicjowanej przez ks. Ficka w 1844 r. akcji trzeźwościowej, mającej zwalczyć nękającą Śląsk plagę alkoholizmu, choć jednocześnie jako poeta pisywał żartobliwe wiersze głoszące radość życia, uroki biesiad i pochwałę trunków. Potrafił też zresztą z rzadko spotykaną dozą humoru i autoironii pisać o zaletach stanu kapłańskiego jako mającego zapewnić wygodny i dostatni żywot. Jednocześnie jednak ten autor anakreontycznych wierszy, z których wyłaniać mógłby się obraz człowieka zapatrzonego w doczesne horyzonty, był w istocie wrażliwy na dolę potrzebujących i oddany ich sprawie. Jak pisał Kudera:

Powszechnie znaną było rzeczą, że ks. Stabik nigdy nie miał grosza w domu. Jak dla przyjaciół, tak i dla biednych i opuszczonych miał zawsze serce otwarte³.

Do grona jego przyjaciół zaliczali się najwybitniejsi ówczesni księża górnośląscy. Łączyły go więzy przyjaźni nie tylko z ks. Fickiem, ale i z ks. Józefem Szafrankiem z Bytomia, słynnym obrońcą polskich praw narodowych śląskiego ludu i posłem do pruskiego Zgromadzenia Narodowego, a także z ks. Leopoldem Markiefką z Bogucic i ks. Ludwikiem Markiewką z Mysłowic, ks. Bernardem Purkopem z Piekar, ks. Michałem Kanią z Poniszowic, ks. Karolem Pressfreundem z Biskupic.

³ Ibidem, s. 34.

Jednocześnie przez całe życie Stabik uprawiał także pisarstwo. Żartobliwe i okolicznościowe wiersze zebrano w jedynym jego tomiku poetyckim z 1848 r. oraz drukowano także później na łamach prasy, m.in. „Tygodnika Maryańskiego”, „Zwiastuna Górnoszląskiego” i „Katolika”. Układał je nawet w ostatnich latach życia, gdy tracąc już wzrok, nie mógł ich sam zapisywać, a jedynie dyktować.

Już w latach 1846—1850 jego staraniem wydawany był w Gliwicach „Kalendarz Katolicki dla Ludu Górnoszląskiego” jako jeden z pierwszych polskich kalendarzy na Górnym Śląsku. Jego autorstwa był również wydany w 1846 r. w Bytomiu popularny opis Ziemi Świętej, oparty na znanych mu źródłach, a także opublikowany w 1847 r. w Raciborzu w postaci kilku zeszytów przekład wspomnień zatytułowanych *Pielgrzymka do Jerozolimy i na Górę Synaj roku 1831, 1832 i 1833, odbyta przez o. Józefa Geramba, trapistę*. W latach późniejszych ukazały się drukiem jego własne wspomnienia z odbytych w latach 1864 i 1865 podróży do Włoch oraz pobytu w 1870 r. w Oberammergau.

Inny nurt jego pisarstwa to tematyka religijna, której przykładem jest *Katechizm biblijny* z 1847 r. i wydana w tym samym roku książeczka *Filotea, czyli droga życia pobożnego św. Franciszka Salezjusza*. W latach późniejszych ukazała się *Książeczka jubileuszowa, czyli nauki i modlitwy na jubileusz Roku Pańskiego 1865* oraz w roku 1875 *Książka na jubileusz papieża*. Napisać miał też *Pieśń do św. Barbary, patronki górników*.

Przez całe życie pisywał również poświęcone różnym aktualnym problemom religijnym i społecznym artykuły do prasy, m.in. „Tygodnika Katolickiego”, „Zwiastuna Górnoszląskiego”, „Katolika” i „Schlesisches Kirchenblatt”. Szczególnie leżały mu na sercu problemy oświaty — m.in. zwracał uwagę na potrzebę wydawania polskich elementarzy — oraz obrona praw ludności śląskiej do posługiwania się swym ojczystym językiem. Poruszał w swych artykułach także problemy ludności napływowej, przybywającej na Śląsk w poszukiwaniu pracy w tutejszym przemyśle i mającej trudności z adaptacją w nowych dla siebie warunkach. Zamieszczał w prasie także życiorysy śląskich księży, opisywał różne wydarzenia z życia parafii, dzielił się z czytelnikami wrażeniami ze swych podróży, układał też wierszowane zagadki.

Ksiądz Jan Kudera, pisząc jego biografię, nadał jej znamienity tytuł:
10 Ks. Antoni Stabik. Najpopularniejszy kapłan Górnego Śląska. Popularność

tę zawdzięczał ks. Stabik nie tylko swej długoletniej pracy duszpasterskiej i wybitnym talentom kaznodziejskim sprawiającym, że był on zawsze oczekiwanym mówcą podczas gromadzących tłumy z całego Śląska uroczystości religijnych na Górze Świętej Anny czy też w Piekarach Śląskich. Był on w dziewiętnastym stuleciu znany także jako poeta, autor polskich wierszy zamieszczanych na łamach prasy i zebranych w wydany w 1848 r. w Raciborzu tomie *Żarty nieżarty, czyli Wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń*⁴, jeden z pierwszych i niemający sobie wówczas na Śląsku równych aż do czasu należących już do następnego pokolenia innych księży poetów — Norberta Bonczyka i Konstantego Damrota. Jak pisał o nim we wspomnianej pracy Kudera:

Należał on na Górnym Śląsku do pierwszych, którzy odważyli się polskie pisać wiersze. Było to coś niesłychanego, że ktoś się ośmielił u nas układać wiersze w języku, będącym u niektórych w pogardzie i nad którego wyniszczeniem i wytępieniem pracowały jednostki z wyłączeniem sił⁵.

Podobnie ocenił pisarstwo Stabika znakomity przedwojenny badacz literatury śląskiej — Wincenty Ogrodziński:

Twórczość poetycka Stabika górowała w 1848 r. niewątpliwie nad ówczesnym wierszopisarstwem śląskim, jakkolwiek powód do niej dawały przeważnie drobne okoliczności lub lektura utworów niemieckich. [...] Wiersze treści świeckiej są przeważnie wesołe, pisane na ogół językiem prostym i czystym, rzadko gdzie zabarwione narzeczowo. [...] Jeżeli wyróżniają się dodatnio wśród swego otoczenia aż do czasów Damrota, Bonczyka i Dirbacha, a zdobyły sobie na Górnym Śląsku wielką popularność, to przyczyną jest wrodzony talent Stabika i wprawa jego rymotwórcza⁶.

Jego zbiór poetycki *Żarty nieżarty...* poprzedzony był co prawda wydanymi w latach 1841—1843 trzema tomami *Zbioru wierszy* Józefa

⁴ A. Stabik: *Żarty nieżarty, czyli Wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń*. Racibórz 1848. Z tego tomu pochodzą wszystkie przytaczane tu cytaty wierszy Stabika.

⁵ J. Kudera: *Ks. Antoni Stabik...*, s. 46.

⁶ W. Ogrodziński: *Dzieje piśmiennictwa śląskiego*. Do druku przygotowali L. Brożek i Z. Hierowski. Katowice 1965, s. 122—123.

Lompy⁷, ale też przerastał je znacznie walorami literackimi, świadczącymi o wyższości talentu poetyckiego i większej sprawności pisarskiej autora.

Droga życiowa ks. Stabika była dość typowa dla przedstawicieli dziewiętnastowiecznej inteligencji śląskiej, parającej się piórem. Ówczesni pisarze, poeci, dziennikarze niemal aż do schyłku ubiegłego stulecia w znakomitej większości z wykształcenia byli nauczycielami, jak Józef Lompa czy Karol Miarka, albo księżmi, jak Antoni Stabik, Norbert Bonczyk i Konstanty Damrot.

Tom poezji Stabika *Żarty niezarty...* zawiera wiele wierszy okolicznościowych, zwłaszcza pisanych z okazji prymicji czy jubileuszy zaprzyjaźnionych księży⁸. Nieliczne są tam przeróbki czy tłumaczenia wierszy poetów niemieckich, jak Friedrich Schiller, Ludwig Kosegarten i Martin Opitz. Tom ten wydaje się jednak ciekawy ze względu na swoją wyjątkowość w ówczesnym piśmiennictwie polskim na Śląsku. Interesujący jest także sposób realizacji różnego rodzaju poetyckich konceptów i rozwiązań przez ich autora.

Jednym z pierwszych pytań, narzucających się podczas jego lektury, jest kwestia relacji poezji Stabika do romantyzmu — rok 1848, w którym tomik ten się ukazał, to przecież czas bliskiego już schyłku tej epoki. Niewątpliwie romantyczne cechy dostrzec można we wspomnianych już tłumaczeniach utworów niemieckich. Jednocześnie w innych utworach znaleźć możemy wyraźne nawiązania do I tomu poezji Mickiewicza, zawierającego cykl *Ballad i romansów*. Widoczne jest to już w wierszowanej dedykacji, kierowanej — tak jak i w owym przełomowym dla narodzin polskiego romantyzmu tomiku wileńskim z 1822 r. — do przyjaciół:

Komuż bym miał poświęcić te moje marzenia,
Jeśli nie Wam, Współbracia! i Wam, Przyjaciele!
(s. 3)

⁷ Zbiór wierszy, które częścią z niemieckiego języka tłumaczył, częścią sam ułożył nauczyciel elementarny Józef Lompa. T. 1—3. Opole 1841—1843.

⁸ O poezji Stabika zob.: J. Lyszczyna: *Antoniego Stabika „Żarty niezarty”*. W: *Śląskie miscellanea. Literatura — folklor*. T. 8. Red. J. Malicki i K. Heska-Kwaśniewicz. Katowice 1995, s. 30—38.

Dwukrotnie występuje w utworach Stabika podtytuł „powieść gminna”. Opatrzony został nim wiersz *Wdzięczne zwierzęta*, łączący konwencję żartobliwej ballady z elementami bajki, w której zwierzęta pomagają człowiekowi, a dobre czyny spotykają się z nagrodą. Druga „powieść gminna” nosząca tytuł *Skarbołowcy* to również żartobliwa ballada grozy, tym razem z elementami nie tylko baśni, ale i satyry. Inny utwór, który też zaliczyć można do konwencji rozgrywających się w baśniowym świecie ballad, choć przecież jest to wierszowana legenda o cudownych czynach świętego, to przeróbka wiersza Ludwiga Kosegartena *Amen kamieni*, którego bohaterem jest żyjący na przełomie VII i VIII wieku angielski mnich Beda. Zupełnie nieoczekiwanie retoryka ballady, z charakterystyczną konwencją pytań, pojawia się w niektórych wierszach okolicznościowych.

Nieco inaczej kwestia balladowych schematów wygląda w żartobliwym wierszu *Gliwiczanki*, będącym przeróbką utworu Martina Opitza. Jego akcja toczy się w czasach wojny trzydziestoletniej, gdy Gliwice oblegane były przez wojska szwedzkie, lecz miasto uratowała przemysłowość jego mieszkańek. Sytuacja przypomina tu *Świteż* Mickiewicza, gdzie miastu, w którym pozostały tylko kobiety, groziła nieuchronna zagłada. Bohaterki wiersza Stabika postanawiają jednak obronić się przy pomocy fortelu, gdy wydawało się już, że wszystko jest stracone.

Wskazane tu zbieżności wierszy Stabika z romantyzmem mają jednak, jak już wcześniej powiedziano, charakter powierzchowny i na tle całości zbioru raczej marginalny. Podobnie jak w wypadku wydanych kilka lat wcześniej wierszy Józefa Lompy, twórczość Stabika zakorzeniona jest wyraźnie w staropolskich konwencjach literackich, choć w przeciwieństwie do swego poprzednika autor *Żartów nieżartów...* do zupełnie innych inspiracji się odwoływał. Najważniejsze w jego przypadku jest sięganie do tradycji literackiej epoki renesansu jako pewnego ideału zarówno w sensie językowo-stylistycznych wzorców i gatunkowych realizacji, jak i szerzej — jako określonej postawy wobec świata i człowieka, wyraziście kontrastującej ze średniowieczno-barokowym tonem poezji Lompy. Przesłaniem większości utworów z tomu *Żarty nieżarty...* jest radość życia; nawet jeśli mieszczą one w sobie pewną dozę dydaktyzmu, to są to raczej horacjańskiej treści pouczenia, jak żyć godnie i szczęśliwie, jak cieszyć się tym doczesnym światem przemija-

jących wartości, który przecież jednak jest w swej istocie dobry, gdyż został stworzony przez Boga i oddany człowiekowi. Nic więc dziwnego, że w tych wierszach tak często pobrzmiewa ton radości i pochwały dla Stwórcy i Jego dzieła.

Nieprzypadkowo też w poezji tej znajdziemy liczne nawiązania do pieśni i fraszek Jana Kochanowskiego w horacjańskich i anakreontycznych afirmacjach radości życia i uroków wesołej biesiady. Ów ton anakreontyczny brzmi nawet nieco zaskakująco w niektórych wierszach dedykowanych przez Stabika jego współbraciom — kapłanom z różnych okazji. Żartobliwa pochwała stanu kapłańskiego i pożytków z niego płynących, wychodząca od przysłowia, że „ten, co ma księdza w rodzie, temu bieda nie wybodzie”, znajduje się np. w wierszu *Na prymicie X. Bogumiła Kosmeli*.

W innych wierszach, dedykowanych zaprzyjaźnionym kapłanom na imieniny, czytamy życzenia, takie jak np. te, będące żartobliwą parafrazą konwencji staropolskiej poezji ziemiańskiej, której nieodzownym motywem było zwykle akcentowanie obfitości darów natury, szczególnie najczęściej wyliczanych:

Na oborze gęsi, kaczki, kurczęta, kapłony
Niech się mnożą, abyś dobrze był zaopatrzony;
Bo gdy się goście znowu pojeżdżają,
To Ci do pierza wszystko pozjadają.
(*Śpiew akrostyczny na imieniny X. Michała Kani*)

Ton żartobliwy, zapowiedziany już samym tytułem zbioru, mimo że w nim dominujący, nie obejmuje go w całości. Tu także bowiem pojawia się np. dydaktyzm — nie tylko w postaci cytowanych już żartobliwych pouczeń, ale i w tonie serio, zwłaszcza w wierszach stanowiących jakby swoistą realizację renesansowego „zwierciadła”, a przynoszących zwykle uogólnione w swych rysach portrety idealnych kapłanów, których życie jest służbą innym ludziom poprzez niesioną posługę duszpasterską i sakramenty, jak też wsparcie moralne i materialne.

Jak widać, poezja Stabika zakorzeniona jest mocno we wzorach literackich i ideałach renesansu, co zresztą dałoby się z pewnością wykazać także w sferze językowo-stylistycznej. Nie znaczy to jednak, by renesans

był tu jedynym punktem odniesienia. Można np. wskazać także pewne wyraźne związki z poezją barokową, ale w przeciwieństwie do wierszy Lompy dochodzą tu do głosu raczej elementy nurtu dworskiego, traktującego właśnie wzorem renesansu poezję jako przepojoną konceptyzmem grę, zabawę, przeznaczoną przede wszystkim dla kręgu przyjaciół. Taki właśnie konceptyzm dochodzi do głosu np. w wierszu *Dlaczego Ewa pochodzi z żebra*, składającym się najpierw z wyliczeń, z jakich to członków — i dlaczego — nie została ona stworzona. Pointa jest tu jednak na morsztynowską modłę zaskakująca:

Lecz niestety! dzisiejsze żony się popsnęły,
Z każdego członka męża jakąś częśćkę wzięły.
(s. 35)

Autorzy prac poświęconych poezji Stabika zwracali uwagę na obecne w niej innego jeszcze rodzaju inspiracje. Jan Kudera w okolicznościowym artykule w 25. rocznicę jego śmierci pisał, powołując się na wyrażane już wcześniej w prasie opinie, że tom *Żarty niezarty...*:

Jest to, jak pisał „Przegląd Poznański” w t. IX, zbiór anakreontycznych wierszyków, napisanych w sposobie i wartości Krasickiego⁹.

Wincenty Ogrodziński również stwierdzał:

Wzorował się Stabik na poetach polskich epoki stanisławowskiej, w szczególności na Krasickim, ale nie przyswoił sobie od nich zasady gładzenia i poprawiania utworów, które wypuszcza zazwyczaj bez potrzebnego oszlifowania¹⁰.

Z pewnością można by wskazać na głoszone w niektórych utworach śląskiego poety oświeceniowe ideały, jak np. kult wiedzy i nakaz użyteczności społecznej, obowiązujący każdego człowieka. O związkach tomu Stabika z literaturą epoki oświecenia zaświadcza też obecność w nim

⁹ [J. Kudera]: *Ksiądz Antoni Stabik. Kartka pamiątkowa w 25 rocznicę śmierci*. Bytom 1912, s. 10.

¹⁰ W. Ogrodziński: *Dzieje piśmiennictwa...*, s. 122—123.

elementów satyry, jak w cytowanym już wierszu *Dlaczego Ewa pochodzi z żebra* czy w innym, zatytułowanym *Piękne kazanie*, gdzie uwidacznia się typowy dla satyry chwyt rozmowy-relacji. Podobnie jest w wierszu *Co do wesela chłopskiego koniecznie należy*, gdzie opis zabawy weselnej skwitowany zostaje przez rozmówcę ripostą:

Co mi to za wesele, gdyście się nie bili!
(s. 37)

Wszystkie te wymienione oświeceniowe inspiracje i nawiązania — łącznie z odwoływaniem się do ideałów horacjańskich i poezji renesansowej, co było przecież też cechą poezji stanisławowskiej, nie wystarczają jednak, by uzasadnić tezę o szczególnych związkach utworów Stabika z twórczością Krasickiego. Związki te zasadzają się bowiem przede wszystkim na jednym: wspólnocie postawy humorysty, poety ceniącego sobie przede wszystkim żart, dowcip, co nie bez przyczyny podkreślone zostało już w samym tytule tomu śląskiego poety. I rzeczywiście — tak jak w wypadku autora *Monachomachii*, który w poemacie tym żartobliwie sparafrazował swój *Hymn do miłości ojczyzny* słowami *Wdzięczna miłości kochanej szklenice...*, tak i w poezji Stabika przed żartobliwym potraktowaniem nic nie jest w stanie się uchronić. Oprócz humoru, dążenia do żartu, zabawy, której pretekstem może być każda, nawet najbardziej poważna, sprawa, z postawą poetycką Krasickiego łączy Stabika niewątpliwie również stosunek do języka poetyckiego.

Taką parafrazę uzyskuje tu np. konwencja poezji ziemiańskiej w cytowanym już wierszu *Śpiew akrostyczny na imieniny X. Michała Kani*, i oświeceniowe ideały postępu oraz nowoczesności, których wcieleniem w czasach Stabika była rozwijająca się wówczas kolej, pokazana tu jako „piekielne wozy”, które „z okolicy sprowadzają gości lotem błyskawicy”.

Portrety wzorowych kapłanów, oddanych całym życiem służbie Bogu i ludziom, znajdują też żartobliwą przeciwwagę w cytowanym już także wierszu *Na prymicie X. Bogumiła Kosmeli*. Z kolei akcja trzeźwościowa, zainicjowana na Śląsku przez ks. Alojzego Ficka i czynnie przez Stabika wspierana, w jego wierszu kwitowana została żartobliwym stwierdzeniem:

Bo chociaż teraz i trzeźwość panuje,
Wszak się u Ciebie wino nie zepsuje.
(*Śpiew akrostyczny...*)

A cóż dopiero powiedzieć o powtarzających się wielokrotnie pochwałach uroków solidnie zakrapianej uczty i wezwaniach do cieszenia się nimi, pojawiających się w wielu innych jeszcze wierszach z tego tomu.

Kapitałnym przykładem żartobliwego stosunku do tradycji literackich renesansu i baroku, do których przecież w swej twórczości tak często Stabik nawiązywał, jest jego wiersz *Małgosia w mieście*, gdzie zdroworoządkowej weryfikacji poddane zostały konwencjonalne komplementy, którymi kobietą urodę obdarzali dworscy poeci minionych wieków, jak Jan Kochanowski czy Jan Andrzej Morsztyn. Przed humorystycznym oglądem nie obroniły się zbanalizowane już wówczas konwencje językowe, choć przecież obecne jeszcze i w konwersacji, i w epigońskiej literaturze. To jednocześnie także kpina z pewnego typu zachowań.

Język jego poezji jest nie tylko poprawny i staranny — czasem jedynie z pewnymi cechami regionalnymi — ale często wręcz klasyczny, oparty właśnie na wzorach renesansowych i oświeceniowych. Nie znaczy to bynajmniej, że jest on archaiczny — przeciwnie, jest to przecież jednak polszczyzna dziewiętnastowieczna, można więc powiedzieć, że w tym wypadku renesansowe i klasycystyczne normy stylistyczne przetransponowane zostały tu na współczesną poecie materię języka.

Tak jak Lompa był kontynuatorem tradycji literatury średniowiecznej i barokowej, tak Stabik przyswoił dziewiętnastowiecznej poezji śląskiej wzory renesansowe i oświeceniowe. Następne pokolenie polskich poetów na Śląsku — pokolenie Bonczyka i Damrota — sięgnęło już po wzory literatury romantycznej, której twórcy ci czuli się kontynuatorami.

Niespokojna natura ciągnęła Stabika z Michałkowic w różne dalsze i bliższe strony. Bywał on często na okolicznych odpustach, co roku uczestniczył w uroczystościach na Górze Świętej Anny, wyjeżdżał kilkakrotnie do Krakowa, a w latach 1864—1865 odbył dwie podróże do Włoch, których świadectwem są wydane w 1867 r. *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych*. Jeszcze w 1870 r. udał się do bawarskiego Oberammergau, gdzie od XVII stulecia odbywają się

słynne misteria pasyjne. I z tej podróży pozostawił relację, drukowaną najpierw na łamach „Zwiastuna Górnośląskiego”, a potem osobno w postaci broszury.

Opis podróży do Włoch, składający się na obszerną, liczącą ponad 300 stron, książkę, należy do najważniejszych prac literackich Stabika¹¹. Zasadniczo przeważająca część tekstu ma charakter przewodnika, szczegółowo ukazującego wybrane miasta, znajdujące się w nich kościoły, zabytki, dzieła sztuki. Głównym źródłem wiedzy były dla Stabika istniejące już niemieckie przewodniki po Włoszech i opisy atrakcji turystycznych tego kraju. Miejscami tylko pewne uwagi świadczą o tym, że sam autor widział prezentowane miejsca czy artefakty na własne oczy. Zwykle dopiero po tych czysto informacyjnych partiach następują krótkie na ogół wstawki, obrazujące pobyt autora i jego współtowarzyszy w danym miejscu, przeżyte tam przygody i osobiste wrażenia. Sposób przedstawienia z autopsji tych właśnie obiektów zdradza autora wrażliwego zarówno na uroki natury, jak i piękno sztuki, a podziw dla wielbionych dzieł klasyków rzymskiej starożytności i włoskiego renesansu idzie tu w parze — odmiennie niż w poezji Stabika — z romantyczną już raczej metodą opisu.

Podróż pierwszą, trwającą w sumie 20 dni, odbył wspólnie z trzema innymi zaprzyjaźnionymi księżmi — Karolem Pressfreundem i Henrykiem Wengerem z Biskupic oraz Tomaszem Gałuszką z Kochłowic. Wyruszyli 1 sierpnia 1864 r. koleją do Wiednia, a stamtąd — po przesiadce — przez Alpy dojechali do Triestu. Pełne entuzjazmu opisy zobaczonego po drodze widoku morza, a następnie samego Triestu, zdradzają już na samym wstępie relacji tę romantyczną naturę podróżnika, która w jego poezji kryła się skutecznie pod maską klasycznych wzorów. Można powiedzieć, że właśnie w nich ujawniła się prawdziwie poetycka dusza autora. Jednocześnie jednak wspomnienia te rejestrują wiele bardzo realistycznych obserwacji dotyczących zwiedzanych miast oraz konkretnych faktów związanych z pobytem, warunkami zamieszkania, wyżywienia itp.

¹¹ Szczegółowo o *Wspomnieniach z podróży...* Stabika i ich związkach z dziewiętnastowieczną literaturą tego typu pisze E. Malinowska: *Włoskie impresje Antoniego Stabika*. W: *Śląskie miscellanea. Literatura — folklor*. T. 4. Katowice 1992, s. 15—22.

Następnym etapem podróży była Padwa, z której wrażenia Stabik skwitował — podobnie jak jeszcze wielokrotnie w innych miejscach — krótkim stwierdzeniem:

O naszym tutejszym pobycie niewiele mówić można, bośmy tu tylko kilka godzin bawili. (s. 46)

— toteż opis pobytu ogranicza się tu do przedstawienia wrażeń ze zwiedzania kościoła oraz krytycznej oceny obiadu spożytego w miejscowej trattorii. Równie krótki był pobyt w Weronie, gdzie oczywiście nie mogło zabraknąć nawiązania do kojarzącego się z tym miastem dramatu Szekspira.

Ostatnim włoskim miastem zwiedzanym podczas tej podróży był Trydent, skąd nasi wędrowcy udali się do tyrolskiego Botzen, a dalej dyliżansem do Innsbrucka, co zapamiętali na długo, podczas jazdy bowiem przez alpejskie przełęcze przeżyli groźną burzę.

W roku następnym Stabik wraz z dwoma swymi współtowarzyszami poprzedniej wyprawy — ks. Pressfreundem i ks. Gałuszką — wyruszył powtórnie do Włoch. Początkowo zamierzali się udać wspólnie z pielgrzymką pruskiego duchowieństwa do Ojca Św., kiedy jednak okazało się, że termin jej został przesunięty, postanowili nie czekać i pojechać w trójkę. Wyjazd nastąpił 16 czerwca 1865 r. I znów morska podróż z Triestu — tym razem do Ankony — dostarczyła niezapomnianych wrażeń. Na trasie ich podróży znalazł się także słynny ośrodek kultu maryjnego — Loreto, gdzie oczywiście zwiedzili tamtejsze sanktuarium, zakupili pamiątkowe dewocjonała, obserwując jednocześnie typowe dla takich miejsc negatywne zjawiska związane z odpustowym handlem i żebractwem.

Dalsza droga wiodła m.in. przez Bolonię, Pizę i Livorno do Rzymu. Przybycie do Wiecznego Miasta było dla autora wspomnień niemałym przeżyciem. Pochłonoło ich wnet zwiedzanie miasta i jego wspaniałości, wśród których na głównym miejscu znaleźć się musiała bazylika św. Piotra. Najważniejszym wydarzeniem tego pobytu była oczywiście szczegółowo przez Stabika opisana audyencja u Ojca Św. Piusa IX, która miała miejsce 27 czerwca.

Podczas jednej z kolejnych wizyt w bazylice św. Piotra czekała podróżnych niespodzianka — spotkali tam słynnego kompozytora i pianistę Franciszka Liszta, przebywającego wówczas w Rzymie.

Kolejnym etapem włoskiej wyprawy ks. Stabika i jego współtowarzyszy był Neapol i jego okolice. Wspólnie odbyli wyprawę na szczyt Wezuwiusza, w programie zwiedzania okolicznych atrakcji nie mogło zabraknąć także ruin Pompei.

Stamtąd podróżujący wspólnie księża powrócili znów do Rzymu, udając się następnie przez Modenę, Parmę i Piacenzę do Mediolanu, skąd wyruszyli już w drogę powrotną przez Austrię i Bawarię, zatrzymując się w Lipsku, gdzie też rozstali się. Stabik zwiedzając miasto, zwrócił uwagę na znamienne świadectwo — kamień upamiętniający śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w nurtach Elstery — które odszukał, poświęcając mu chwilę zadumy.

Z Lipska udał się do Berlina, pozostawał jednak ciągle jeszcze pod wrażeniem Włoch, dlatego też stolica Prus nie mogła go specjalnie zachwycić. Stąd już — jak pisał w zakończeniu swych wspomnień — powrócił 18 lipca prosto do Michałkowic.

Ostatnie lata życia ks. Antoniego Stabika przyniosły nasilające się kłopoty ze zdrowiem — trapiący go przez wiele lat uporczywy kaszel oraz postępująca utrata wzroku, która w końcu uniemożliwiała mu już normalne spełnianie obowiązków duszpasterskich — toteż pełnił wówczas przede wszystkim służbę w konfesjonale. Nie wiadomo dokładnie, kiedy problemy te zaczęły się nasilać, już jednak ks. Norbert Bonczyk w poemacie *Góra Chełmska* z 1886 r. wymieniał Stabika wśród:

[...] ojczyzny filarów,
Tych co ustmi i piórem udzielali darów,
Które mieli od Boga; oni lud kształcili,
Bo mówili do serca.

(II, w. 281—284)

Nawiązując do tytułu tomu wierszy Stabika, Bonczyk pisał:

[...] w Stabika głowie
Wiecie jakie tam skarby „żarte i nie żarte”.
To czoło, oko jasne, dla ludu otwarte,
Ileż ono patrzyło dla naszych oświaty;
Teraz ciemne!

(II, w. 288—292)

W 1883 r. ks. Stabik obchodził jubileusz 50-lecia kapłaństwa, uczczony uroczystością zorganizowaną przez parafian, którym przez tak długi czas służył. Od swych przyjaciół — księży z dekanatu bytomskiego — otrzymał z tej okazji gratulacje ujęte w łacińską formę „Tabula gratulatoria” i głoszące m.in.: „Najdroższemu Antoniemu Stabikowi, seniorowi dekanatu bytomskiego, pisarzowi mającemu być zaliczonym do pierwszych na Śląsku, mówcy, poecie uwieńczonemu”¹².

Zmarł 4 września 1887 r., mając 80 lat. Spoczął tam, gdzie spędził większą część swego pracowitego życia, w Michałkowicach, pochowany na przykościelnym cmentarzu.

¹² J. Kudera: *Ks. Antoni Stabik. Najpopularniejszy...*, s. 33.

Nota bibliograficzna

Tom zawiera wybór wierszy ks. Antoniego Stabika z tomu *Żarty niezarty, czyli Wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń* oraz fragmenty z tomów wspomnieniowych *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych* oraz *Żywe wyobrażenie Męki Pańskiej w Oberammergau*. Wybrano fragmenty zawierające własne obserwacje i refleksje autora, pominięto natomiast opisy oparte niewątpliwie na innych materiałach, np. przewodnikach po Włoszech, z których ks. Stabik czerpał wiedzę o zwiedzanych miastach i zabytkach.

Zmodernizowano pisownię zgodnie z obowiązującymi dziś zasadami, zmodyfikowano też pisownię wyrazów konsekwentnie przez Stabika używanych w formie np. „kortyna”, „boty”, „forta”, „katakomby”, zastępując w nich „o” głoską „u”. Konsekwentnie zmieniono też używany przez Stabika skrót „Ś.” na „św.”.

Bibliografia

(wybór)

Publikacje oryginalne i tłumaczenia ks. Antoniego Stabika
(w wyborze)

- „Kalendarz Katolicki dla Ludu Górnoszląskiego”. Gliwice 1846—1850.
Ziemia Święta, czyli krotki opis najznamienitszych miejsc Palestyny i jej stolicy Jerozolimy. Bytom 1847.
Modlitwa do Najświętszego Sakramentu [b.m.w.] 1847.
Filotea, czyli droga do życia pobożnego św. Franciszka Salezjusza [b.m.w.] 1847.
Pielgrzymka do Jerozolimy i na Górę Synaj roku 1831, 1832 i 1833 odbyta przez o. Józefa Geramba, trapistę. Przeł. A. Stabik. Racibórz 1847.
Żarty niezarty, czyli Wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń. Racibórz 1848.
Cud spełniony w Piekarach. Piekary 1849.
Książeczka jubileuszowa, czyli nauki i modlitwy na jubileusz Roku Pańskiego 1865. Wrocław 1865.
Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych skreślił ks. Antoni Stabik, proboszcz michałkowski. Wrocław 1867.
Żywe wyobrażenie Męki Pańskiej w Oberammergau z własnego widzenia. Piekary 1870.
Książka na jubileusz papieża [b.m.w.] 1875.

Opracowania

- [J. Kudera]: *Ksiądz Antoni Stabik. Kartka pamiątkowa w 25. rocznicę śmierci*. Bytom 1912.
J. Kudera: *Ks. Antoni Stabik. Najpopularniejszy kapłan G. Śląska*. Katowice 1937.
Pisarze śląscy XIX i XX wieku. Wrocław 1963 [zawiera wybór utworów Stabika].

- W. Ogrodziński: *Dzieje piśmiennictwa śląskiego*. Do druku przygotowali L. Brożek i Z. Hierowski. Katowice 1965.
- E. Malinowska: *Włoskie impresje Antoniego Stabika*. W: *Śląskie miscellanea. Literatura — folklor*. T. 4. Katowice 1992, s. 15—22.
- J. Lyszczyna: *Antoniego Stabika „Żarty niezarty”*. W: *Śląskie miscellanea. Literatura — folklor*. T. 8. Red. J. Malicki i K. Heska-Kwaśniewicz. Katowice 1995, s. 30—38.
- J. Wycisło: *Stabik Antoni*. W: *Słownik biograficzny katolickiego duchowieństwa śląskiego XIX i XX wieku*. Red. M. Pater. Katowice 1996, s. 394—395.
- J. Lyszczyna: *Księdza Antoniego Stabika podróże i książki*. Katowice 1998.
- A. Halor: *Żarty niezarty księdza Stabika*. Siemianowice 1999.

Wiersze



* * *

Komużbym miał poświęcić te moje marzenia,
Jeśli nie Wam, Współbracia! i Wam, Przyjaciele!
Wszak to Wam wynurzałem w tych pieniach życzenia,
Bądź to na imieniny, lub inne wesele. —
Przyjmijcie więc łaskawie te humoru płody!
Jeśli jakie znajdziecie w nich zadowolenie,
Będę za moje prace dosyć miał nadgrody
I jeszcze Wam niejedno napiszę marzenie.
Dobry skutek się ściele, bo mi w uchu dzwoni,
Bądźcie zdrowi tymczasem, żegna was

ANTONI

Młodzian nad strumieniem (Z Szyllera)

Nad strumykiem siadł młodzieniec,
W wianek wijąc polny kwiat;
A spostrzegłszy, jak mu wieniec
Porwan wałem, niesion w świat —
Rzecz: tak me płyną lata
Bez wstrzymania, jak ten źródój;
Tak blednieje młodość świata,
Jako więdnie kwieci strój.

Nie dziwuj się, iż boleję,
Żyjąc w wieku kwiecich lat;
Wszystko radość ma, nadzieję,
Gdy się zjawi wiosny ślad.
Ale u mnie wszystkie głosy
Ożywionej wiosny tej
Odnawiają smutne ciosy
I boleści duszy mej.

I cóż mi po tej radości,
Którą świeży rodzi maj;
Jedną kocham — jest w bliskości,
A daleki do niej kraj.
Ja wyciągam ręce moje,
Ona znika, jako cień;
Nowe zawsze niepokoje
Dręczą serce każdy dzień.

Zstąpże do mnie, mój aniele!
Opuść pyszny zamek twój.
Na twym łonie ci rozściele
Kwiaty, świeżej wiosny strój,
W lasku echo wtórzy pieśni,
Szemrze w srebrnym zdroju głos:

Miejsca dosyć w chatki cieśni,
Gdy szczęśliwych złączy los.

Amen kamieni (Kosegarten)

Beda — lubo w starości wzrok swój już postradał,
Boską jednak naukę ciągle opowiadał,
Od miasta szedł do miasta, od wioski do wioski,
Za swoim przewodnikiem starzec, sługa Boski
I jak rzeźwy młodzieniec swym językiem władał

Jedną razą prowadzi go chłopczyna mały
Doliną, w której wielkie kamienie leżały.
Nie z złości, lecz z swawoli rzecz do starego:
„Dobry Ojczy! tu rzesze ludu pobożnego
Zeszły się, zapewne by kazania słuchały”.

Niewidomy uwierzył i poczyną przody
Słowa święte tłumaczyć i bierze powody
Do zbudowania ludu, pokuty, nadzieje —
Tak serdecznie, iż własne serce mu boleje,
A łez potok mu spływa aż do siwej brody.

A gdy skończył kazanie starzec siwowłosa,
I pobożny „Ojczy nasz” niesie pod niebiosy,
I kończy: „Nie uwodź nas, Panie! w pokuszenie,
Ale strzeż nas od złego, daj wieczne zbawienie!”
Tedy słysząc w dolinie wraz tysiączne głosy:

„Amen, amen, Wielebny Ojczy! niech się stanie”.
Chłopak strachem przejęty już czyni wyznanie
Grzechu swego świętemu i szczerze żałuje.
„Synu!” — rzekł starzec — „to się do Pisma stosuje,
Ludzie bowiem gdy milczą, skały mówią za nie.

Nie szydź nadal, mój synu! ze słowa Bożego,
Ono bowiem ożywia i wzmacnia każdego,
Kraje ostrzej, niżeli obosieczne miecze,
A kiedy zakamieni się serce człowiecze,
To serce tchnie człowiecze z kamienia twardego”.

Małgosia w mieście

Bardzo mi to jest miło, żem miasto widziała,
Atolim miejskiej mowy nie wyrozumiała;
Bo tam tak dziwne mają wyrazy i słowa,
Iż nie poznać, czy grecka, czy to polska mowa.

Jeden mówił: że w licach róże mam kwitnące,
Inny dwie gwiazdy widział w głowie się iskrzące,
Trzeci biadał, iżem mu zraniła wnętrzności,
Iż w oczach strzały, w ustach mam słoniowe kości.

Szaloni! mówią nawet: masz jedwabne włosy,
A szyję z alabastru — chrońcie mnie, niebiosy!
Pan z kuprowatym nosem, któregom wyśmiała,
Powiedział, żem ze stali i z żelaza cała.

Brzuchał nazwał mnie piękną jakąś tam Hesterą,
Chudak zaś Kupidonem, a matkę Wenerą.
Mój Boże! co ci ludzie nierozumni bają —
Alboż mnie to, że jestem sierotą, nie znają?

Jeden znów chciał mnie w rękę ukąsić zębami,
Inny mnie zaś pod stołem wciąż deptał nogami,
Trzeci mnie za podbródek szczypał i za lice,
I nazwał mnie królową dziewcząt z okolice.

32 Niektórzy na kolana przede mną klękali
I boginią czcigodną nawet nazywali.

Toć bluźnierstwo okropne i bezbożność sroga,
Adym — Panie grzech odpuść, nie jest żoną Boga.

To hańba, że tak głupio bają ci mieszczenie,
Wszystko inaczej widzą, jako my włościanie;
Ale to stąd pochodzą te przewrotne gwary,
Iż patrzą na człowieka przez te okulary.

Dlaczego Ewa pochodzi z żebra

Gdy Bóg dokonał dzieła stworzenia wielkiego,
Myślał Adam, iż Stwórca zapomniał na niego;
Ale on nie zapomniał, bo przecie utworzył
Towarzyszkę mu miłą, by sobie z nią pożył.
Z czegoż ją to utworzył? — Nie z mężowej głowy,
By się nie sprzeciwiała mądrości mężowej.
Ani ją wyjął z oczu człowieka pierwszego,
Aby nie poglądała z chciwością na niego.
Ani z języka jego, aby nie gadała,
Co by jej nie przystało, owszem zamilczała.
Ani z uszu Adama — i to z ostrożności,
By nie podsłuchiwała kiedy z ciekawości.
Ani z rąk męża, aby tego nie sięgała,
Do czego ją natura żeńska nie pozwala;
Ani z nóg, aby pilnie w domu obcowąła,
Nie za wszystkim, co widzi i słyszy, biegła.
Stwórca mądry utworzył towarzyszkę miłą
Z żebra Adamowego, by pod męża siłą
Zawsze była przy boku jego i poddaną
Temu, komu od Boga na to była daną.
Lecz niestety! dzisiejsze żony się popsnęły,
Z każdego członka męża jakąś część wzięły.

Piękne kazanie

„Słuchajcie jeno, moi ludkowie!
Ja byłem dzisiaj w kościele.
Ksiądz proboszcz mówił o Boskim słowie
I mogę o nim rzec śmieie:
Nie masz drugiego w duchownym stanie,
Co by powiedział takie kazanie!

To człowiek mądry, ten nasz Dobrodziej,
Rozumu pełno ma w głowie,
Jaki to walny z niego kaznodziej,
Kto go raz słyszał, ten powie:
Że albo długo do szkoły chodził,
Albo też zaraz księdzem się rodził.

Jak nam to dzisiaj pięknie wykladał
Naukę z Pisma Świętego;
A chociaż przeszło godzinę gadał,
Nie brały nudy żadnego
Wszyscy na niego oczy zwracali,
Żaden nie drzymał, wszyscy słuchali.

Wszystkich zbudował swoimi słowy,
Wszystkim się serca krajały;
Płakało wielu podczas tej mowy
I mnie łzy z oczu kapały. —
Bardzo mi miło, że byłem w kościele,
Już nie opuszczę żadnej niedziele”.

„I mnie przy waszym opowiadaniu
Na płacz się zbiera, kumotrze!
Żal mi, że nie byłem na tym kazaniu;
Ale powiedzcie nam, Piotrze!
O czym to mówił, czego nauczał,
Czym wam tak mocno dzisiaj dokuczał?”

„Tego ja nie wiem, kumosiu miły!
Bom ja nie chodził do szkoły.
A gdzieżby się tam w głowie zmieściły
Całej nauki szczegóły?
Ale to szczere czynię wyznanie:
Iż bardzo piękne było kazanie!”

Wdzięczne zwierzęta (Powieść gminna)

Pewien gajowy żył dawnego czasu
Ze siostrą swoją wśród ciemnego lasu,
A ta samotna siostra gajowianka
Miała głównego zbója kochanka.

Ten ją namawiał: „Gdybyś twego brata,
Co mi przeszkadza, zgładziła ze świata,
Byłabyś moją, nie znałabyś nędzy,
Owszem dostatek miałabyś pieniędzy”.

Ta nie chce zgładzić brata ręką swoją,
Ale jej w głowie dziwactwa się roją;
W myślach bezbożnych okrutna zamierza,
Żeby brat zginął przez dzikiego zwierza.

Udając chorą, tak chytra prosiła:
„Braciszku złoty! baba mi radziła,
Iż od wilczycy mleko mi pomoże —
Zastrzelże taką wilczycę mi w borze”.

Wziąwszy brat strzelbę idzie na zwierzęta,
Znalazł wilczycę, gniazdo i wilczęta,
I chce wypalić do zwierza biednego,
Ale wilczyca tak rzecze do niego:

„Daruj mi życie, a ja ci dam za nie
Mleka i młode wilczę na chowanie.
Wilczęć się przyda za czasem w potrzebie,
Mleko niech siostra otrzyma dla siebie”.

Siostra niecnota, gdy brata żywego
Widzi, już znowu zmyśla co innego:
„Braciszku złoty! mleko niedźwiedzicy
Rychlej pomoże, niżeli wilczycy”.

Znowu brat z strzelbą po lesie czatuje
I niedźwiedzicę z młodymi znajduje.
Matka go znowu o życie błagała,
Mleka dla siostry — i niedźwiadka dała.

Siostra niecnota do razu trzeciego
Dziczego mleka wymaga od niego.
Maciora dała mleka do burdziaka
I na chowanie młodego warchlaka.

I te zwierzęta wszystkie miał w komorze,
Bojąc się zdrady w tym okropnym borze.
Taką wyćwikę od niego dostały,
Iż na głos trąbki wszystkie się zbiegały.

Siostra niecnota, gdy nic nie wskórała,
Tak się do brata swego odezwała:
„Gdyś się tak dla mnie strapił, bracie miły!
Zrobię ci kąpiel, abyś wzmocnił siły”.

Brat z wdzięcznym sercem do kąpieli wchodzi,
Aż zbój zdradziecko do niego przychodzi,
I bezbronnego wiąże, i krępuje,
Topór na jego zabicie gotuje.

Ten widok srogi mocno go przestrasza —

36 Jednej się łaski od zbója doprasza:

By mu raz jeszcze zatrąbić pozwolił; —
Zbójca na jego żądanie zezwolił.

Zwierzęta na głos trąbki się wyrwały,
Zbója i siostrę w sztuki poszarpały,
A teraz wdzięcznie kręcąc ogonami
Położyły się panu pod nogami.

Potem, gdy razu jednego gajowy
Ze zwierzętami był poszedł na łowy,
Słyszy wołanie dalekie i krzyki,
Bieży i znalazł powóz i zbójniki.

Natychmiast poszczuł na nich zwierzętami,
Obronił księżną z wozem i koniami.
Młoda księżniczka ze serca wdzięcznego
Wzięła w nadgrode go za męża swego.

Żyli szczęśliwie, bogactw nazbierali,
Wierne zwierzęta do śmierci chowali. —
A jeśli jeszcze żyją, wino piją,
Jeśli umarli, to już — w ziemi gniją.

Skarbołowcy (Powieść gminna)

Pod kaplicą za cmentarzem
Unosił się płomień biały,
Bo pieniądze tam gorzały; —
Widziało to kilku razem

Wawrzek rzecze do sąsiedzi:
„Bracia! gdyby tych pieniędzy
Jako dostać w naszej nędzy!
Ale diabeł na nich siedzi”.

Jacek radzi: „Do Krzysztofa
Modlić trzeba się świętego,
Są ci bowiem w mocy jego”.
Dobra rada Filozofa.

Trzy tygodnie każdej nocy
Prosząc na kolanach leżą
Bo w Krzysztofa mocno wierzą,
Iż im będzie na pomocy.

Noc ostatnia już przybyła,
Kur północny już był zapał,
Ciemno było — deszcz pokrapiał —
Groza wszystkich ogarnęła.

Idą przecie do kaplicy,
Acz ze strachem niepojętym,
Żegnają się krzyżem świętym,
Już przychodzą ku skarbnicy.

A tu diabeł pieniędzami
Miesza w ognistym korycie,
Zakrzywił na ich przybycie
Ryszawymi wąsiskami.

Nad nim szubienica stoi,
Pod nią inni diabli siedzą.
Co to znaczy — ci nie wiedzą,
Każdy trzęsie się i boi.

Strach ogarnął Filozofa,
Aż czerwone gacie drżały;
Lubo przedtem radził śmiały
Pomodlić się do Krzysztofa.

Ten, co miesza, krzyknie teraz:

38 „Tego najprzód wieszaj, bracie!

Co czerwone nosi gacie,
A tych drugich za nim zaraz”.

Diabli wszyscy się ruszają,
Na ich głowach straszne rogi —
Mój Filozof hejda w nogi!
Za nim wszyscy uciekają.

Na sekundycje
X. Franciszka Heisig, proboszcza kielczkiego
(w imieniu parafian)

Przewielebny Jegomości!
Lubo zacnych dziś masz gości,
I my z nimi się cieszymy,
Jubileusz Twój święcimy.

Pasterzu nasz, dobry Panie!
Najszanowniejszy kapłanie!
Przyjmij mile, co z szczerego
Serca życzymy dobrego.

Byłeś z nami tyle laty,
Zwiedzał nasze nędzne chaty,
Dawał rady i pomocy,
Ile było w Twojej mocy.

Dobry w dobrym potwierdzony,
Zły był przez cię poprawiony,
Twe modlitwy, Twe ofiary
Przyniosły nam hojne dary.

Prowadziłeś drogą cnoty,
Zachęcając do ochoty
Małowiernych, by walczyli
I na niebo zasłużyli.

Bóg zapisał Twe zasługi —
A my chcąc wypłacić długi
Szczerym sercem Cię kochamy,
Ojcem naszym nazywamy.

Niech Bóg z swojej świętej woli
Jeszcze Ci tu życie dozwoli
Jak najdłużej między nami,
Okrywając Cię łaskami.

A gdy zwłoki Twe mogiła
Cieniem swoim już pokryła,
Przyrzekamy Tobie z chęci:
Żyć będziesz w naszej pamięci.

Pan zaś sługę swego wsławi,
Między wybranych postawi;
Bo był wierny, szczery, stały,
Godzien tedy wiecznej chwały!
Dnia 27 września 1835 r.

Skórki
Żart na imieniny X. Pawła Skórki,
proboszcza tyskiego

Skórka skórcie nie jest równa, choć wygląda łąbska,
Jedna lepsza, druga gorsza, trzecia wcale kiepska;
Lecz rękodzielnik potrafi utwory
Wystawić sztuczne i z najlichszej skóry.

Na podeszwy, na rzemienie służy wołowina,
Na cholewy i na przyszwyy dobra i krowina,
Abelek podły na brandzol nie szkodzi,
A do opiętków świerkiem szewc dogodzi.

W skórki księgi księgowiąże mocno oprawiają,
Z skór rymarze różne rzeczy dla nas wyrabiają:

To paski mocne, to worki, to baty,
To konną zbroję — uzdy i opraty.

Z skórek, co się wyprawiają z wełną lub z kudłami,
Kuśnierz futra i kożuchy wydziwia sztukami.

Pan się odziewa wilkiem, chłop baranem,
Panie zaś kuną, wydrą, astrakanem.

Na bębny się wyciągają cieleta, kozłiny,
Z nich się oraz wyprawiają mocne pargaminy;

Z tych najzacniejsze raciborskie skórki,
A tych za pełne nabyć można worki.

Takich skórek, Skórko Bracie! centnar Ci życzymy,
Dziś gdy Twoje imieniny świetne obchodzimy;

Przy tym co służy dla zdrowia, wygody;
Sześć stągiew, jako w Kanie, wina z wody,

Ażeby Ci się do woli Twojej wszystko działo,
Nic przykrego serce Twoje nigdy nie doznało;

Uderzmy w szklanki pełne cnego soku:
Żyj Pawle! żyj nam do przyszłego roku!

Dnia 22 marca 1836 r.

Na sekundycje

X. Karola Hergesell, proboszcza miedzińskiego
(w imieniu współbraci dziekaństwa pszczyńskiego)

Różnymi łaskami Bóg obdarza człeka:

Mądrość i dowcip udziałem jednego,

Inny się szczęścia rzadkiego doczeka,

Nie znając ciosów losu okrutnego;

Ten zaś opatrzon od niebios sowicie

W pomyślne zdrowie, długoletnie życie.

Tobie Staruszk! Opatrzność sprzyjała,
Bo te szczególne podarki do Ciebie
Jak do jednego naczynia przelała,
Chcąc mieć wybrańca na ziemi dla siebie,
I z nieskończonej rąk swoich hojności
Zrządza Ci dzisiaj obfite radości.

Oto pół wieku właśnie dzisiaj temu,
Gdyś święte Bogu poślubił usługi;
Służyłeś wiernie przez wszystkie czas Jemu,
Chcąc winne stanu wypłacać długi.
Twoje zasługi od wszystkich nas znane,
W księgach żywota stoją zapisane.

Godnieś sprawował tenże urząd święty,
Nosząc do Boga bezkrwawe ofiary,
Cały zbawieniem swej trzody zajęty,
Ściągałeś dla niej hojne z niebios dary.
Twoją roztropność i Twój umysł Boski
Chwałą zlecone Twej opiece wioski.

Nie zbywało Ci do pracy ochoty —
Wiedząc, iż skarby skarbić mamy w niebie,
Tam, gdzie dom jęczał ubogiej sieroty,
Dopomagałeś nędzy i potrzebie;
Tak na przydomek Ojca zaśłużyłeś,
Pięknie kapłański stan przyozdobiłeś

Dla swych owieczek łożyłbyś i życie —
Idziesz, gdzie słaba pierś na łożu stęka,
Bądź i w zarazie, nie wzdrygasz się przecie,
By Cię nie dotkła chłodna śmierci ręka.
Za te zasługi świat się nie wywdzięczy,
Bóg je jedynie nagrodą uwieńczy.

Niechże Ci Pan Bóg z swojej świętej woli
Stałego zdrowia jeszcze tu użyczy!

A póki Ci tu z nami żyć pozwoli,
Niech Ci udziela radości słodczy!
Aż pożegnawszy się, Pasterzu! z nami,
Głowę położysz między owieczkami.
Dnia 19 grudnia 1839 r.

Na imieniny
X. Józefa Słowika, proboszcza żernickiego
Vino bibunt homines, animalia caetera fontes

Śniło mi się nad świtaniem o jednym słowiku,
Który śpiewał bardzo ładnie w zielonym gaiku;
A ludzie mówią: iż ranne marzenia
Doznają często swojego sprawdzenia.

Śpiewał słowik o Słowiku wyraźnymi głosy
I wyliczał do jednego wszystkie przyszłe losy.
Uszy mam dobre i pilnie służyłem,
Opowiem wszystko, co wyrozumiałem.

„Mój Słowiku! dziwnie się to na tym świecie dzieje,
Rok za rokiem się umyka, a człek się starzeje,
Ty zaś na wieczne czasy będziesz młody,
Ale pij wino, a nie pijaj wody.

Którzy w zakurzonych księgach rozumem badają,
Zawsze bladzi, jeśli nigdy wina nie pijają;
Ty będziesz czerstwy i na ciele styjesz,
Jeśli niekiedy wina się napijesz.

Którzy sobie grefenberskie wino spodobali,
Już na brzuch i na żołądek nieraz narzekali;
Ciebie żołądek nigdy nie zaboli,
Ale mu użycz węgrzyna do woli.

Ni łakomcy, co to nigdy wina nie pijają,
Choć są skąpi i oszczędni, jednak nic nie mają.

Ty masz talary, będą i dukaty,
Ale na wino nie żałuj utraty”.

Uleciała mi ptaszyna, więcej nie słyszałem,
Ale wieszczbę tę do Ciebie zaraz stosowałem.

Aby spełniła się w bieżącym roku:
Uderzmy w szklanki pełne cnego soku.

Dnia 19 marca 1840 r.

Na prymicje X. Bogumiła Kosmeli

Cóż się to, Bracia, dzisiaj nam zjawilo?

Młody kapłan ma wesele,
Przeto nas się tu tak wiele
Zewsząd zgromadziło.

Jużeś dogonił, Bracie, celu Twego,

Już się szkoły ukończyły,
Książki na bok położyły,
Zaczнеш co innego.

Stan Twój duchowny ma swoje wygody,

Chociaż zrazu kapelanem,
Przecię sobie będziesz panem,
Aż nabędziesz trzody.

Słusznie przysłowie dawne tak powiada:

Że ksiądz, choćby był i w lesie,
To mu przecie każdy niesie,
Dobrze sobie jada.

I krewni nawet dobrze przy nim mają,
Bo ten, co ma księdza w rodzie,
Temu bieda nie wybodzie,
Tak sobie gadają.

Dobrzeć więc zawsze powodzić się będzie,
Na spichlerzu dziesięcina,
A w piwnicy dobre wina,
Dość pieniędzy wszędzie.

My zaś koledzy w Twoje prymicyje
Tu się wina napijemy,
Tobie Wiwat przyniesiemy:
Niech Bogumił żyje!

Śpiew akrostyczny na imieniny X. Michała Kani

Hic dies vere mihi festus, atras
Eximet euras.

Horacy

Mówią ludzie, iż mało księży jest w ogóle,
A tu przecie znaczne gronko siedzi ich przy stole;
Ale to teraz nie dziwi człowieka,
Gdy goście przyjdą z bliska i z daleka.

Już też bowiem na tym świecie cuda wydziwiają,
To w balonach jako ptaki w powietrzu latają,
To te piekielne wozy z okolicy
Sprowadzą gości lotem błyskawicy.

Cóż dopiero, kiedy Michał mocno w trąbę świśnie?
To się każdy już zawczasu tu czym prędzej ciśnie,
Aby nie zasnął, gdy raz wszystkich ludzi
Trąba Patrona jego z martwych wzbudzi.

Hasło także w okolicy dawno o tym śpiewa,
Że u Kani jako w Kanie dobry węgrzyn bywa.
Węgrzyn łacinnik, jemu więc sprzyjają
Wszyscy uczeni, co łacinę znają.

A gdyż tak jest, księżu Bracie! przyjacielu miły!
Otóż twoje imieniny dzisiaj zgromadziły
Mnóstwo przyjaciół wieku młodzieńczego,
A teraz braci stanu duchownego.

Łagodnieś nas wszystkich przyjął tu do domu Twego,
Bo ty kochasz bez obłudy współbrata wiernego.
Odnówmy dzisiaj te święte przymierze.:
Wiernymi bądźmy, kochajmy się szczerze.

Każdy z nas Ci dziś wynurza serdeczne życzenia:
Niechaj żadne Cię nie gryzą w życiu Twym zmartwienia,
Niech stale zdrowie uprzyjemnia życie,
A niebo niech Cię obdarza obficie.

A na polu niechaj Ci się wszystko hojnie rodzi,
A bydełku niech zaraza żadna nie zaszkodzi.
Co masz w dostatku i co zbywa Tobie,
Sprzedaj, a co Ci potrzeba, kup sobie!

Na oborze gęsi, kaczki, kurczęta, kapłony
Niech się mnożą, abyś dobrze był zaopatrzony;
Bo gdy się goście znowu pojeżdżają,
To Ci do pierza wszystko pozjadają.

I piwnicy Twojej też by życzyć należało,
Aby jej na trawnym winie nigdy nie zbywało;
Bo chociaż teraz i trzeźwość panuje,
Wszak się u Ciebie wino nie zepsuje.

A teraz, gdy tak pomyślna pora nam się zdarza,
Pijmy wszyscy pełnym kubkiem zdrowie gospodarza.

Krzyknijmy głośno, aże zadrżą ściany:
Wiwat — niech żyje Michał nasz kochany!
Dnia 29 września 1846 r.

Gliwiczanki (Marcin Opitz)

Wiecie dobrze, gdzie Gliwice,
Co dzielnością się wślawiły,
Gdy mężatki i dziewice
Wroga z miasta wypędziły.
Nie tylko winnogorzanki,
Słyną też i gliwiczanki.

Krwawa wojna się toczyła,
Która lat trzydzieści trwała,
W tej to chytrość zwyciężyła,
I Gliwice ratowała,
Chytrość kobieca i sztuka,
Co nawet biesa oszuka.

Warto śpiewać o tym czynie,
By wiedzieli potomkowie,
I że miasta ocalenie
Winni mądrej babskiej głowie;
Bo gdyby nie te dziewice,
Dawno zginęły Gliwice.

Wojsko Szwedów niezwalczonych
Szląsk okropnie pustoszyło,
Nawet zuchów uzbrojonych
Swą dzielnością rozpłoszyło;
Ale nasze gliwiczanki
Śmiało patrzą na te panky.

Już to miasto jak szarańcze
Szwedów zgraja otoczyła,
Już na mury i na szanie
Kilka razy wypaliła:
„Złóżcie broń!” — wołają wspólnie,
„Poddajcie się dobrowolnie!”

Bo jak się do szturmu damy,
To się spodziewajcie złego —
Do szczętu powycinamy,
Co tylko w mieście żywego;
Wszystko bladym padnie trupem,
A my podzielim się łupem!”

Co tu czynić? garstka zbrojna
Nie potrafi zwalczyć wroga,
Mężów liczba już niehojna —
Miastu grozi wielka trwoga;
Aż tu dziewice i żony
Zbierają się do obrony.

Lecz niestety! do strzelania
Kul i prochu już nie staje;
Aż tu jedna bez wahania
Taką mądrą radę daje:
„Gdy już strzelać nie możemy,
Jagłami ich poparzemy!”

Zaraz hoże gliwiczanki
Znoszą jagły, ile mają.
Sują w kotły, garce dzbanki
I do ognia przystawiają,
Aż z kominów miasta wszędy
Kłębem biją gęste smędy.

48 Szwedy mają to mniemanie,
Iż się mieszczeni popisują

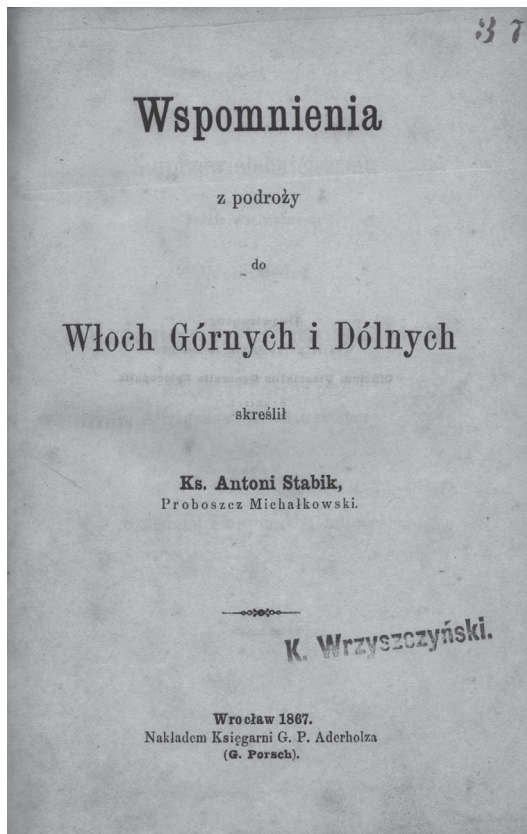
I gościom na przywitanie
Smaczny obiadek gotują;
Bo już też czas co ciepłego
Zjeść i wypić co dobrego.

Już to stoją pod murami
I na nie się wypinają,
Tusząc sobie, iż panami
Będą miasta — już krzykają;
Aż tu oto niespodziany
Na łby leci war jaglany.

Zewsząd tną te wrzące grady,
Mocniej jako ołów parzą.
Ci nie wiedzą sobie rady,
Dalej walczyć się nie ważą
I wstecz się te walne wrogi
Obróciły! — hejda w nogi!

Tak niewiasty się wślawiły
Jako dzielne Amazonki,
Żony mężów ocaliły,
Panny poszły na małżonki,
A Gliwice niespodziany
Wyratował war jaglany!

Wspomnienia



Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych (fragmenty)

Aby zadowolnić współbraci i parafian moich, życzących sobie mieć jaką pamiątkę z rzymskiej pielgrzymki naszej, zaraz po powrocie z Włoch zacząłem zbierać materiały do skreślenia niniejszego dziełka, częścią z pamięci, częścią z niemieckich w tym przedmiocie napisanych książek czerpane, co niemało kosztów, pracy i czasu wymagało. Z początku chciałem tylko szczupłą napisać broszurkę, lecz zważając na to, że obszerniejszy opis nie tylko więcej zadowolni czytelnika, ale zarazem posłużyć może zwiedzającym Włochy z starożytnymi ich miastami na wskazówkę, jakiej w języku polskim jeszcze nie posiadamy, postanowiłem więc przedłużyć nieco opisanie miast, zwłaszcza kościołów, dla zabawy i zbudowania czytelników. Rozumie się, że to dziełko nie jest dokładnym opisaniem Włoch całych i miast wszystkich, albowiem te tylko miasta opisałem obszerniej, któreśmy w podróży naszej zwiedzili, o tych zaś miastach, któreśmy przejeżdżając, tylko widzieli, nieco tylko powiedziałem w ogólności, a o innych niezwidzonych i niewidzianych nic nie wspomniałem. (s. V—VI)

Podróż do Włoch Górnych Roku 1864

Już z młodych lat życzyłem sobie zwiedzić Włochy, tę ziemię klasyczną, którą starożytni pisarze prozą określali i wierszem opiewali, i których dzieła w szkołach jako tako tłumaczyliśmy na język ojczysty bez dokładnego wyrozumienia. Lecz w wykonaniu tego zamiaru zachodziły od roku do roku rozmaite przeszkody [...]. (s. 1)

Już z stacji Nadbrzeziny ujrzałem pierwszy raz w życiu morze, tj. morze Adriatyckie, o dwie mil odległe. Okazało nam się z daleka jako ciemna wstęga na horyzoncie, która nam znów znikła z oczu, bośmy wjechali między wysokie skały. Skoro wyjechaliśmy na otwarte pole, uderzył nas znów wspaniały widok rozległego morza tak mocno, żeśmy wykrzyku zadziwienia przytłumić nie mogli. Po prawej spostrzegliśmy nad samym brzegiem pyszny zamek z ślicznym ogrodem Miramare, który jest własnością arcyksięcia Maksymiliana i z którego w roku 1863 odpłynął tenże jako cesarz Meksyku. Za tym zamkiem otwiera się nieprzejrzana przestrzeń morza, a po lewej stronie okazało się miasto Triest na tarasach zbudowane z pięknym portem, niezliczonymi okrętami wypełnionym. — Ta modrawo-zielona powierzchnia morza, te po niej pływające parowce, te okręty z żaglami, te rybackie łódki z różnofarbnymi żagielkami — zachwycają urokiem, którego pióro określić nie zdoła. (s. 2)

Triest

Dzieli się na nowe i na stare miasto; pierwsze porządnie jest zbudowane, ma szerokie i proste ulice i kilka rynków, po części marmurem, po części prostym kamieniem brukowanych. Główny rynek (*la piazetta grande*) otoczony jest pięknymi kamienicami, a w pośrodku stoi posąg cesarza Karola VI. Stare miasto, nad którym panuje zamek wielki, jest bez ładu zbudowane. [...] W Trieście żyją ludzie wszelkiego wyznania i mają tu swoje kościoły; panujący język jest włoski, ale mówią tu także po niemiecku, po francusku i po polsku. [...].

Lubo już dawniej jechałem parowcem na Dunaju z Wiednia do Presburga, przekonałem się jednak, że podróż na morzu o wiele różni się od podróży na rzece. Stojąc na pokładzie, przypatrywaliśmy się tysiącnym światłom gazowym, którymi oświetlone było miasto i port cały z groblami. Morze było zupełnie spokojne, noc cichuteńka, firmament gwiazdami wyhaftowany. Znienacka ruszył się okręt i prując fale, coraz dalej, odpływał od brzegów. Światła poczęły znikać zwolna, aż znikły zupełnie i pokrył nas pomrok nocny. Niewymowne uczucie opanowało nas, gdyśmy znajdowali się między niebem i bezdennym morzem. [...] Na świtanie wszystkich oczy zwracały się ku wschodowi słońca, które się wkrótce w całej swej wspaniałości pokazało, jakby wstawało z wodnego łoża swego. (s. 2—4)

Wenecja

Około 2 z południa zlatuje się ze wszech stron na ten plac mnóstwo gołębi tak oswojonych, że porzucony im kawałek bułki w samej bliskości pożerają. Taka o tym słynie powiastka. Na początku 13 wieku admirał Dandolo podczas oblężenia Kandii odebrał z wyspy przez gołębie listy z wiadomościami, które mu dobiec ułatwiły. Wraz z uwiadomieniem o dobiec Kandii posłał tenże admirał te gołębie do Wenecji, których przyszłe pokolenia miasta z wdzięczności żywi i ma w uszanowaniu. Gnieźdzą te gołębie w przyległych pałacach i kościołach. (s. 8—9)

Widok z dzwonnicy na miasto, że tak rzekę, w morzu pływające, jest czarujący. Poczerniałe dachy domów, zielono-modrawe fale morskie, a w dalszej odległości ciemne abrysy Alp stanowią panoramę, która się z żadnym innym widokiem w świecie porównać nie da. (s. 10)

Trzy dni tylko bawiliśmy w Wenecji, lecz i z tego krótkiego czasu korzystaliśmy tyle, że nam przynajmniej w pamięci zostało słabe wyobrażenie tego cudownego miasta, które za pomocą o nim napisanych książek opisałem tu dość obszernie co do znakomitych miejsc, pałaców i kościołów, lubo nie byliśmy wszędzie i nie widzieli wszystkiego. Już wspominałem o tym, że w naszym hotelu mieliśmy smaczną kuchnię i dobre piwo; lecz znaleźliśmy tu także i inne wygody. Stancje przeznaczono nam w pierwszym piętrze porządne, z posadzką drobnymi kamyczkami wysadzaną i kobiercami pokrytą, a okna zapstrzone mieliśmy żaluzjami, co wszystkim posłużyło ku ochłodzie pokoi, zwłaszcza że te okna nie przypuszczały żadnego słońca, bo wychodziły na tak wąski zaułek, że dwaj naprzeciw sobie leżący w oknach łatwo sobie ręce podać mogli na wzajemne powitanie. Takich uliczek bardzo wiele znajdziesz w Wenecji i w innych starożytnych miastach włoskich. Łoża wysokie i tak obszerne, że troje ludzi razem spać może w jednym, opatrzone są zasłonami z cieniuteńkiej materii dla zabezpieczenia od natrętu kantaridów, czyli komarów albo muszek kolących, które we Włoszech nie miłośniernie dokuczają śpiącemu; pościel wygodna z lekuteńką kołderką. Lecz mimo to w nocy panowało okropne gorąco w stancji, a we dnie na ulicach nieznośny skwar słoneczny, bo zaraz z rana mieliśmy blisko 30 stopni gorąca, które się ku południu do 40 i wyżej wygórowało. Wenecjanie piją dla ochłody czarną, zimną kawę, my zaś chłodziśmy się czerstwym piwem albo limonatą, albo lodami, a na koniec kąpielą

w zimnej wodzie w wannach marmurowych, którą dla wygody gości także znaleźć można w hotelu.

Teraz wyprowadzę czytelnika na ulice, gdzie ciągły ruch i gwar prze-
raźliwy panuje: tu brudny Włoch, roznoszący w koszu winogrony na
sprzedaż, grubym głosem przeciągłym woła jednostajnie *u-va!*, tam smu-
kła wodonożka zalecając swoje świeżą wodę, ciekawym głosem raz po raz
powtarza: *aqua fresca!* — Tu przy kupach arbuzów i melonów, cytryn,
pomarańczów i innych włoskich owoców zapraszają sprzedawcze chrapli-
wym głosem przechodzących do kupowania, tam kupczyki stojący przed
kramami wymieniają i ofiarują z krzykiem swoje towary. — Tu chłystek
zastępuje ci drogę i wół niewół chce ci chędożyć buty, tam zaczepia
cię włóczęga i natrętnie ofiaruje ci na sprzedaż żywe żółwie i konchy
morskie. — Tu obdarte chłopaki naprzykrzają się sprzedawaniem mydeł,
zapałków, konfekcików i różnych innych drobiazgów, tam ładne i nie-
ładne dziewczęta ofiarują ci bukietik kwiatów i z uśmiechem wtykają
do dziurki guzikowej w nadziei otrzymania podarunku. Ku wieczorowi,
skoro tylko nieco ochłodziło się powietrze, zgromadza się lud niezliczony
na plac św. Marka. Właściciele kawiarni i cukiernic rozstawiają stoliki
i krzeselka, które natychmiast zasiadają goście, a podczas gdy jedni piją
kawę albo limonadę, a inni jedzą lody, ciasta i owoce, przechodzą się
grupy muzyków płci obojga z skrzypcami, gitarami i harfami i bawią
gromadę graniem i śpiewaniem. Wkrótce po zachodzie słońca zapalają
tysiące lamp gazowych, których jasność rozlewa się na cały ten plac ob-
szerny. Muzyka austriacka zaczyna grać i tak rozciąga się zabawa aż do
północy i dalej. Tak bawią się zwykle Wenecjanie, tak i my bawiliśmy
się z nimi. Jedna rzecz tylko martwiła nas niemało, tj. że nie znając
języka włoskiego, nie mogliśmy się z nikim rozmówić, a gdyby nie nasz
poczcuiwy ks. Tomasz, który dość dobrze mówi po włosku i był naszym
tłumaczem, toby nam się lichy było powiodło we Włoszech. (s. 38—40)

Padwa

O naszym tutejszym pobycie niewiele mówić można, bośmy tu tylko
kilka godzin bawili. Zostawiwszy tłumoki nasze w dworcu kolejnym,
udaliśmy się zaraz do kościoła św. Antoniego na wielkie nabożeństwo,
które się właśnie odbywało na wielkim ołtarzu. W kaplicy zaś świętego
odprawiała się jedna msza św. za drugą, co niezawodnie aż do popołu-

dnia trwało. Uważaliśmy, jako lud modlący się dość głośno przytykał prawą rękę w tyle do ołtarza i mówiono nam, że to dla tego czyni, aby łatwiej i rychlej modły jego wysłuchane były.

Tu stąd odwiedziliśmy inne wspomniane kościoły; lecz ponieważ tropiczne panowało gorąco w porę właśnie południową, obejrzawszy się nieco po mieście, poszliśmy do traktierni na obiad. Był to pierwszy obiad z włoskiej kuchni, który nam właśnie tak lichy smakował, jak wino krajowe, które nie tylko usta, ale i podarte buty do kupy ściągnąć potrafiło. Po tym delikatnym obiedzie obejrzelśmy jeszcze wszechnicę przynajmniej zewnątrz, przeszli kilka ulic, nakupili medalików i innych drobnych pamiątek i wrócili na kolej, gdzieśmy się w restauracji kawą i limonatą pokrzepiali. Wkrótce potem powstał grzmot z ulewnym deszczem, który nam gorące powietrze do dalszej podróży przyjemnie ochłodził. (s. 46)

Werona

Na prawym brzegu Adygi jest w zamkniętym ogrodzie gmach, dawniej klasztor franciszkanów, teraz koszary. W kaplicy, teraz na wozownię obróconej, stoi wielkie kamienne koryto, które nazywają trumną Julii, znanej z tragedii Szekspira *Romeo i Julia*. Na lewym brzegu jest ogród sławny z przeszło 200 drzew cyprysowych, które już po 400 i 500 lat liczą i na 120 stóp są wysokie. Na wzgórzu jest altana z bardzo ładnym widokiem na miasto, na Alpy i na Apeniny.

W Weronie bawiliśmy tylko kilka godzin. Zaraz z rana wyjechaliśmy sobie na miasto, a stangret nasz oprowadzał nas sam po wspomnianych kościołach i miejscach. W kościele katedralnym widzieliśmy biskupa teraźniejszego, odprawiającego cichą mszę św. na ołtarzu Matki Boskiej z obrazem Tycjana. W owym wspomnianym ogrodzie zeszliśmy się z dwoma austriackimi kadetami, z którymi rozmawialiśmy poufale w języku ojczystym. Amfiteatr dziwne na nas sprawił wrażenie, bośmy podobnego gmachu nigdy jeszcze nie widzieli. Wypieiliśmy się po siedzeniach jakoby po stopniach aż do samego wierzchołka, ale zawrót głowy nie pozwolił spojrzeć na miasto. (s. 48—49)

Podróż do Włoch Dolnych Roku 1865

Przeszłoroczna podróż do Włoch Górnych tak głębokie na nas wywarła wrażenie, te rajske okolice i te wspaniałe kościoły włoskie tak wielce nam się upodobały, że mocno postanowiliśmy udać się wkrótce także i do Włoch Dolnych, zwłaszcza zwiedzić to święte miasto, w którym mieszka Ojciec całego chrześcijaństwa, ten Rzym krwią męczeńską zbroczony i niezliczonymi relikwiami świętych napełniony. Niezadługo zdarzyła nam się sposobność do wykonania naszego przedsięwzięcia. (s. 56)

Dn. 16 czerwca odprawiłem wczesną mszę św. w moim kościele michałkowskim i pożegnałem ze łzami w oczu moich domowników i parafian, którzy się licznie byli zgromadzili. W Katowicach złączyliśmy się wszyscy trzej podróżni na kolei i pojechaliśmy prosto do Wiednia. Tu zabawiliśmy przez półtora dnia dla uzyskania podpisów na paszportach przez legata papieskiego i konsula francuskiego, i zamienienia naszych pieniędzy na złoto francuskie. W niedzielę dn. 18 po wysłuchaniu mszy św. wyjechaliśmy około południa koleją przez Semering do Grazu, gdzieśmy zanocowali. Nazajutrz stanęliśmy ku wieczorowi w Trieście, gdzie znów półtora dnia czekać musieliśmy na parowy statek, na którym mieliśmy popłynąć do Ankony. (s. 57)

O godzinie 2 z południa wypłynął nasz parowiec z portu. Morze było zupełnie spokojne, powietrze łagodne. Towarzyszyły nam w tej podróży morskie jaskółki i delfiny, które to ostatnie wysokami swymi w falach przyjemnie nas bawiły. Zachodzące słońce rzuciło na powierzchnię morza długą srebrną strefę, której prześliczny widok zachwycał nas, aż się słońce w nurtach zatopiło. Noc, pierwszą kwadrę księżyca i rzęsytych gwiazdami oświecona, była nieco chłodna. Pasażery udali się do kajuty na spoczynek i wkrótce niektórzy zaczęli chrapać. Dla mnie było tu za gorąco i duszno, a nie mogąc zasnąć, wdziałem paletot, zapaliłem sobie fajkę i wyszedłem na pokład, na którym kilku tylko majtków, kapitan okrętowy i sternik byli czynnymi. Parowiec jednostajnie pruć fale morskie, a ja siadłszy sobie na krzeselku, przypatrywałem się sternikowi, który ciągle przed siebie patrząc, kółko swoje raz na prawo raz na lewo obracał. (s. 58)

Ankona

Po krótkim spoczynku w hotelu udaliśmy się najprzód do kościoła katedralnego, gdzie właśnie było nabożeństwo, a przed kościołem ćwiczone młódzież w obrotach wojennych z przeraźliwym hałasem. W kościele św. Franciszka znaleźliśmy ławki, których wcale nie masz w innych kościołach włoskich, a w kościele Matki Boskiej wiszą na ścianach wewnątrz i zewnątrz różne szyldy pogrzebowe. W tym kościele naprzeciw hotelu naszego stojącym ciągle dzwonili tak dziwacznie, jak u nas na gwałt, tj. po jednej tylko stronie bijąc, cośmy później w całych Włoszech uważać mogli. — W ogólności Ankona nie bardzo mi się podobała; domy stare i szare, ulice wąskie, krzywe i plugawe, a nawet i w kościołach pełno śmieci i nieładu. (s. 61)

Loreto

Bazylika Loretańska i chrzcielnica posiada bardzo ładne obrazy na oleju i freski pędzla Guido Reni, Tintoreta i innych sławnych malarzów, toż samo skarbiec przechowujący rozmaite klejnoty, przez pielgrzymów Matce Boskiej ofiarowane. Kościołem zawiadują zakonnicy wszech narodów i języków. Poznaliśmy tu pocziwego Polaka Kaliksta Dobosza, rodem ze Lwowa, który na nasze pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” ze łzami w oczach odpowiedział i serdecznie rodaków swoich uściśkał. Tenże oprowadzał nas po kościele i domku, i pokazał nam, co tylko było widzenia godne. Potem zaprowadził nas do znajomego kramarza, gdzie nakupiliśmy sobie medalików i krzyżyków, obdarował nas obrazkami z wizerunkiem i zrąbkiem Matki Boskiej Loretańskiej i czule pożegnał się z nami.

W Lorecie jest bardzo wiele natrętnych ludzi, zwłaszcza żebraków, jak to zwykle bywa na świętych miejscach. Jeśli nie dasz każdemu żebrakowi jałmużny, jeśli nie kupisz od każdego kramarza poświęconych towarów, bądź pewien, że cię obarczą zelżywymi słowy i złorzeczeństwem, czego i my doświadczyliśmy. (s. 68)

Livorno

Miasto nie wygląda po włosku, ale raczej po naszymu, ma szerokie, proste i dobrze brukowane ulice, które teraz równie jak hotele i kawiarnie noszą nazwiska Wiktora Emanuela i Garibaldiego, i kilka porządných rynków, ale kościoły katolickie niczym się nie odznaczają.

Zanocowaliśmy tu w bliskości portu w hotelu „Victoria” i musieliśmy drogo opłacić gospodę. Nazajutrz obudziła nas wczesnym rano huczna muzyka na ulicy, albowiem wojsko tutejsze wychodziło z paradą w pole na obchód rocznej pamiątki wygranej bitwy pod Solferino.

My udaliśmy się do portu i przypatrywaliśmy się budowaniu okrętów. Był tu wielki nieład i hałas przeraźliwy. Ogromne masy drzewa leżały spojone, podobne do szkieletów olbrzymich zwierząt przedpotopowych. Żebraków jest tu bez liku, ciągle coś tam szwargocą pod nosem i natrętnie prześladowują obcych po ulicach. (s. 75—76)

Civita-Vecchia

Po skromnej kolacji w restauracji wsiedliśmy do wagonu drugiej klasy, podobnego do naszej trzeciej, bo siedzenia bez poduszek i gołe tylko ławy wąskie i niewygodne. O godzinie 10 wyruszyliśmy z dworca i jechaliśmy przez pustą Kampanię Rzymską, przez 9 stacyj mniejszych. Serce biło mi gwałtownie, ciągle wyglądałem oknem przy świetle księżyca, aż nareszcie przejechaliśmy most nad Tybrem i właśnie o północy z dn. 24 na 25 czerwca stanęliśmy szczęśliwie w dworcu miasta świętego, celu podróży naszej. [...] Kto przez długie lata pragnął sobie zwiedzić Rzym, przybył tu w nocy znużony, a wstał nazajutrz pokrzepiony, w tym obudzają się uczucia, których określić nie można. Tak i ze mną się działo. Ledwo co dzień zaświtał, pospieszyłem do okna, lecz nie widziałem nic więcej, jak tylko masę starych i szarych kamienic dachówką pokrytych z małymi oknami, większą częścią szklanymi, ale tylko żaluzjami zapstrzonymi. (s. 78—79)

Pobyt w Rzymie

Zaraz po śniadaniu wyruszyliśmy bez przewodnika na wycieczkę do miasta i idąc na chybi-trafi, stanęliśmy znienacka przed wielkim okrągłym gmachem z olbrzymią kopułą i poznaliśmy natychmiast, że to jest Pantheon. Wstąpiwszy do niego, uderzeni byliśmy wielkością i wspaniałością tej budowli, która z bałwochwalni pogańskiej na kościół chrześcijański obrócona została. Po wysłuchaniu mszy św. i obejrzeniu się po tym domie Bożym poszliśmy dalej i niezadługo znaleźliśmy się na głównej ulicy. Idąc za tłumem ludu, nie wiedząc dokąd, stanęliśmy naraz przed mostem Świętego Anioła i spostrzegli przed sobą w niewielkiej odległości pierw-

szy raz kościół św. Piotra na Watykanie. Wyznać muszę, że z początku nie chciałem wierzyć, żeby to był ten olbrzymi kościół, o którym już tak wiele słyszałem i czytałem, bo mi z dala za mały wyglądał; lecz im dalej postępowaliśmy ku placu św. Piotra, tym więcej rosła ta wspaniała budowa w oczach naszych, aż stanęła naraz przed nami w olbrzymich rozmiarach swoich. Okropnie raziło nas słońce w przechodzie wielkiego placu i wychodzie po wysokich wschodach, aż odetchnęliśmy nieco w przysionku, a wewnątrz ogarnął nas chłodek przyjemny. Wielkość przestrzeni tego domu Bożego tak mocno nas uderzyła, żeśmy istotnie osłupieli z podziwienia i musieliśmy się nieco zastanowić, aż byśmy znów przyszedli do siebie. Po nakropieniu się święconą wodą udaliśmy się dalej w przestrzeń, a po adoracji Najświętszego Sakramentu w trzeciej kaplicy po prawej ręce i po ucałowaniu nogi u statuy św. Piotra pod ostatnim filarem przybyliśmy do konfesji i rzucili się na kolana, aby jeszcze raz podziękować Bogu za jego opiekę w podróży i doprowadzenie nas do tego najślawniejszego w świecie kościoła. Jakie uczucia mnie tu opanowały, tego piórem wyrazić nie potrafię i to tylko wiem: iż gorąco modliłem się za siebie i za moich powinowatych, równie jako za moich parafian i wszystkich, którzy się modlitwie mojej u progów apostołów polecili.

Po płytkim obejrzeniu się w tej niezmiernej przestrzeni wyszliśmy z kościoła i udali się w drogę przez całe miasto aż do świętych gradusów przy kościele św. Jana na Lateranie; tu bowiem w nowicjacie pasjonistów znajduje się nasz rodak Augustyn Strużyna z Laurahuty, któregośmy względem dalszych obchodów zaradzić chcieli. Nowicjusz nie śmiąc wydalić się z klasztoru, posłał nas do klasztoru kamedułów przy kościele św. Grzegorza na górze Celio, gdzie znajduje się także nasz rodak Konstanty Czok z Uszyc pod Olesnem, który od kilku lat wstąpił do zakonu, a teraz już jest klerykiem minorystą. Zapukaliśmy do, odzwierny oświadczył nam, że teraz jest sjesta, tj. czas spania, trzeba bowiem wiedzieć, że w Rzymie, równie jako i w innych miastach włoskich wszystko śpi w czasie upałów południowych aż blisko do godziny czwartej, a chłodną nocą ruch i gwar panuje w ulicach miasta. My jednak nie daliśmy się odpędzić, tak długo nalegając na furtianą, aż obudził i przyprowadził nam signora don Wilibalda, które to imię Czok nosi w klasztorze. Rodak nasz przywitał nas uprzejmie i wziął z sobą do swojej celi. Na naszą prośbę, aby nam usłużył w obchodach miasta, przyrzekł wyjednać

sobie pozwolenie przełożonego i odwiedzić nas w naszym mieszkaniu w celu oprowadzenia nas po kościołach i znakomitych miejscach. [...] Po obiedzie około piątej wyszliśmy znów na miasto i zwiedzili Koloseum. W tej przechadzce napadł nas deszcz ulewny i grzmot ciężki, co jednak niedługo trwało i znów okazało się słoneczko. Błakając się po ulicach, już wieczorem przybyliśmy do hotelu. (s. 196—198)

W Rzymie być, a papieża nie widzieć, tyle znaczy, co podróżować bez skutku pożądanego. Dlatego całą naszą staranność zwróciliśmy teraz na dostąpienie audiencji, czyli posłuchania u Ojca Św. (s. 199)

Posłuchanie u Ojca Św.

Nazajutrz tedy dn. 27 po odprawieniu spowiedzi i mszy św. udaliśmy się w sutannach do kościoła św. Piotra, a stąd do Watykanu, gdzie przez kilka godzin przeglądaliśmy muzea, galerie obrazów i księgozbiór. Około południa wstąpiliśmy do sali królewskiej, gdzie już różne państwo czekało na posłuchanie. Stąd postępowaliśmy dalej przez kilka pokoiów skromnie wymeblowanych, ale obrazami i obiciami przystrojonych, aż do samego przedpokoju izby posłuchalnej. Tu odebrano nam koronki i medaliki, któreśmy poprzynosili z sobą w celu poświęcenia tychże przez Ojca Św., a przy tej okazji oznajmił nam monsignore Pacca, abyśmy w czasie posłuchania nie naprzykrzali Ojcu Św. z prośbami piśmiennymi. — Tymczasem wchodziły pojedyncze grupy na posłuchanie i wychodziły znów za znakiem dzwicznego dzwonka. Serce nam biło gwałtownie w oczekiwaniu tej szczęśliwej chwili, w której stanąć mieliśmy przed obliczem Ojca Św. — Teraz zabrzmiał dzwonek, podwoje otwarły się, a prałat wyprowadzający grupę zawołał: „Księża z kolonijskiej i wrocławskiej diecezji!”. Łzy niewymownej radości stanęły nam w oczach, gdyśmy z potrójnym pokłonem zbliżali się do krzesła Ojca Św., który nas uprzejmie powitał i rękę podawał do ucałowania. Zdało nam się, że istotnie stanęliśmy przed jakimś świętym, na którego obliczu rozlewał się jakiś anielski uśmiech i jakiś nieziemski spokój. Rozmowa toczyła się w języku łacińskim. Najprzód pytał nas wrocławianów: co robi nasz książę-biskup i czy jest przy dobrym zdrowiu? [...] Na koniec wywiadywał się o stanie Kościoła katolickiego w Prusach, a gdy na to ostatnie pytanie odpowiedzieliśmy, że my katolicy pod berłem naszego króla swobodnie i szczęśliwie żyjemy i nie mamy się na co żalić, pokiwał głową i rzekł:

„Bardzo dobrze! — bardzo dobrze!”. [...] Po tych rozmowach zapytał głosem prawdziwie ojcowskim: „Moje dzieci! czy macie co więcej do żądania?” — Na co ja, stojąc najbliżej, rzuciłem się na kolana i wydobywszy z kieszeni karteczkę mimo zakazu podałem jemu z prośbą o udzielenie błogosławieństwa dla moich kochanych parafian. Ojciec Św. odebrawszy i przeczytawszy karteczkę tak mi łagodnie odpowiedział: „Dam ja tobie i twoim parafianom ustne błogosławieństwo, ale poczekaj, masz mieć jeszcze co innego”. To rzekłszy napisał własnoręcznie na kartkę: „Odpust zupełny jednorazowego zysku udzielamy wspomnianym parafianom pod zwyczajnym warunkiem. Pius P.P, IX”. Ze łzami w oczu i radością w sercu pocałowałem tę drogą pamiątkę i kolano łaskawego dawcy, na co się tenże uśmiechnął. Podobny odpust udzielił także i innym obecnym księżdom ustnie. —

Uważając teraz, że się nasza audyencja skończyła, padliśmy wszyscy na kolana, a Pius podniósłszy świętobliwą rękę swoją, rzekł rzetelnym głosem: „Błogosławię was błogosławieństwem niebieskim i ziemskim, was i rodziców i krewnych i przyjaciół i parafianów waszych w życiu i śmierci. Amen. Rafał św. niechaj towarzyszy wam w powrocie waszym! Amen”. Łzami skropiliśmy tę rękę świętą, która nas i naszych powinowatych błogosławiła i wydaliśmy się z pokoju. — Ach! była to błoga, była to szczęśliwa chwila — te 18 minut, strawionych na rozmowie z Ojcem całego chrześcijaństwa! Jeszcze dziś przedstawia mi się ta twarz świętobliwa, jeszcze dziś słyszę te miłości pełne słowa Piusowe, jeszcze dziś przechowuję i całuję te kilka wyrazów, które Ojciec Św. własną ręką napisał! Jeszcze dziś pamiętają i długo pamiętać będą moi parafianie to wielkie nabożeństwo z odpustem, które za pozwoleniem naszego biskupa odprawiłem uroczyście w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej! —

Jako wyglądał pokój posłuchalny, tego nie uważałem dokładnie, bo nie było czasu, lecz to wiem pewnie, że naprzeciwko drzwi stało pod ścianą wielkie krzesło na kilku stopniach, z którego niezawodnie Ojciec Św. udziela uroczyste posłuchanie, a wierni przyklękują do stopni dla ucałowania w trzewiku umieszczonych relikwii świętych. My ucałowaliśmy, jak wspominałem, rękę Ojca Św., nie siedział bowiem na onej stolicy, ale tylko na przeciwnej stronie na niskim krześle za stolikiem, nogi miał pod stołem na poduszce wsparte, a na nakrytym stoliku stał krzyżyk z krucyfiksem z słoniowej kości i posążek Matki Boskiej, kała-

marz i pióro. Ubrany był Ojciec Św. w sutannę białą z cienkiej materii, na głowie miał piuskę także białą, na piersiach pectorał na łańcuszku złotym, a na palcu prawej ręki wielki pierścień z relikwiami. (s. 200—203)

Iluminacja Bazyliki Św. Piotra

Skoro tylko Ojciec Św. wrócił do swego mieszkania, wygarnął się nieprzejrzały tłum ludu z kościoła na plac św. Piotra na widowisko oświetlenia kościoła i kopuły, która się w ten dzień corocznie odbywa w Rzymie. Tysiące prostych krzesełek stały w szeregach poustawiane, a za opłatą dwóch paołów można zająć takie krzesółko na cały przeciąg tego widowiska. W Rzymie o godzinę rychlej jak u nas ćmić się zaczyna, dlatego już o godzinie ósmej zaczęła się iluminacja. Kilkaset robotników na powrozech uwiązanych zaczęło zapalać lampy, a w przeciągu 10 minut paliło się 4000 lamp, które ten gmach olbrzymi od samego krzyża nad kopułą aż do poziomu ogniem oblały. (s. 207)

Nazajutrz w samą uroczystość śś. apostołów Piotra i Pawła poszliśmy znów do bazyliki watykańskiej na wielkie nabożeństwo, które Ojciec Św. o godzinie 10 odprawiał. W ten sam sposób jak wczoraj przyniesiono Ojca Św. do kościoła, a skoro tenże usiadł na tronie, zaczęła się nona, którą Papież właściwą modlitwą zakończył. Następnie zaczęła się wielka msza u stóp ołtarza, podczas której kapela papieska wykonywała melodyjne śpiewy liturgiczne. Po stopniowej modlitwie wrócił Ojciec Św. z asystentami do swego tronu, gdzie aż do ofiarowania pozostał. (s. 209)

Po obiedzie i krótkim spoczynku zwiedziliśmy znów kilka kościołów i Koloseum, w którym znaleźliśmy kilka francuskich żołnierzy modlących się przed stacjami drogi krzyżowej. Potem przeszliśmy przez forum rzymskie, przypatrując się łukom tryumfalnym, aż przybyliśmy do więzienia mamertyńskiego, gdzie lud miejski i wiejski przechodził się z kościółka św. Józefa do podziemnej pieczary, w której uwięzieni byli przed śmiercią obaj apostołowie. I my zstąpiliśmy do tego więzienia i widzieliśmy tam ołtarz, na którym odprawia się msza św. i pili wodę z tego źródła, które na prośbę św. Piotra wytrysło i którego wodą ochrzcił Piotr stróża i innych. — Stąd udaliśmy się na górę Kapitolu dla oglądania znajdujących się tu ciekawości, lecz muzeów nie mogliśmy zwiedzić, bo tego dnia nie były otwarte. Zwiedziwszy na koniec kościół Araceli, udaliśmy się przez Corso na plac del Popolo, gdzie zgromadziło

się już niezliczone mnóstwo ludu na widowisko sztucznych ogni, które się na przyległej górze Pincio wieczorem wypalić miały. (s. 211)

Girandola na górze Pincio

Tego samego wieczora odprawiła się także wspaniała iluminacja na zamku Świętego Anioła, a zarazem też całe miasto, zaczawszy od skromnych domków na ciemnych ulicach aż do najpysznějších pałaców, płonęło w ogniu. Kościoły, place publiczne, gmachy rządowe, pałace i domy prywatne, obrazy i statuy Matki Boskiej oświecone były różnokolorowymi lampami i gazowymi świecącymi, a wszystko taki cudny sprawowało widok, jakobyś znajdował się w jakimś zaczarowanym mieście o brylantowych oknach i alabastrowych ścianach. Tłum ludzi włączył się po ulicach przez całą noc, gwarząc i śpiewając, a my, udawszy się około północy na spoczynek, długo nie mogliśmy oka zmrużyć z powodu wewnętrznych wzruszeń, które nam wszystko przedstawiały, cośmy we dnie i w wieczór widzieli. (s. 214)

Katakumby

Przewodnik nasz franciszkanin dał nam do rąk zapalone gromniczki, a zeszedłszy na dół dość długimi wschodami przybyliśmy do miejsca dość obszernego, gdzie znajdowały się dwa ołtarze, jeden mający jeszcze pochodzić z pierwszych czasów chrześcijaństwa, inny służący jeszcze dziś do mszy św., która się tu czasami odprawia. Odtąd poczynają się w różnych kierunkach rozchodzić korytarze, wykopane w glinie, piasku i puzzolańskiej ziemi koloru rudawego, że się zdaje, jakoby to wszystko krwią męczeńską było prześiękłe. Te ganki miejscami są tak wąskie, iż czasem dwie osoby obok siebie iść nie mogą, niekiedy zaś rozszerzają się w większą trochę przestrzeń, gdzie ołtarze stoją. W jednej takiej pieczarze, w której podług opowiadania przewodnika miał być grób św. Cecylii, widzieliśmy długi płyt biało-marmurowy, służący za mensę ołtarza, a po prawej stronie otwór w ramach marmurowych, przeznaczony na przechowywanie Najświętszego Sakramentu. W ścianach przechodów znajdują się teraz już próżne groby w ziemi wydrążone, piętrzące się jedno nad drugimi aż do czterech i pięciu galeryj, w których dawniej spoczywały ciała męczenników. W czasie tych obchodów wpakowałem sobie do kieszeni kilka bryłek tej rudawej ziemi na pamiątkę, aż oto

przewodnik oświadczył, iż pod klątwą kościelną nie wolno brać żadnej bryłki; wysypałem wszystko aż do ostatniego proszku. (s. 217)

Nim wyszliśmy z kościoła, spostrzeżliśmy przy konfesji modlącego się, w całym świecie znanego muzyka Franciszka Liszta. (s. 220)

Wracając z kościoła i przechodząc się po mieście, trafiliśmy [...] na tłok ludu głośno gwarzącego i dowiedzieliśmy się, że się ma odbyć loteria narodowa pod nazwiskiem tombola, która się tu każdą sobotę w południową godzinę odgrywa. Zaraz z rana wystrajają balkon nad główną bramą pałacu Madama czerwono-jedwabnymi firankami i baldachimem. Krótko przed dwunastą zgromadzają się na balkonie urzędnicy loterii. W środku balkonu obraca się na biegunach drzeweczko szklanne, blisko dwa łokcie długie a łokieć szerokie, do którego kładą się numery od liczby 1. aż do 90. Urzędnicy oglądają każdy numer z osobna, wymieniają go głosem, a zwinawszy karteczkę na trąbkę wtykają do cewki, nim go wrzucają do kołowrotka. Ta manipulacja trwa tylko kilka minut, a właśnie w chwili wybijania dwunastej i wystrzału na zamku Anioła wpada ostatni numer do drzeweczka z wykrzykiem: *noranta!* — Dwaj trębaczę zagrają na trąbach, a lud wykrzykuje głosem radosnym. Teraz zaczyna się ciągnięcie losów. Chłopak sierota stojący na krzeselku, cały biało ubrany, przeżegnawszy się podczas ciągłego obracania drzeweczka, wyciąga pojedyncze numery, które jeden urzędnik w fiałkowej sutannie rozwija, a drugi w czarnej sutannie głosem wymienia, a tak dzieje się aż do końca. Na koniec jeden urzędnik wszystkie porozwijane losy rzuca między natłok ludu, trąby przygrywają, a jedni wykrzykują z radości, że wygrali, inni klną i złorzeczą z złości, że przegrali. — Z tej loterii korzysta rząd corocznie na 30 000 skudów. Około godziny drugiej z południa poszliśmy do bonifratrów, albowiem generał ich Alfieri, który roku 1863 zwiedził klasztory bonifratrów w naszym Śląsku, zaprosił nas na obiad, przyrzekłszy nas ugościć po naszemu, co mu się jednak nie najlepiej udało, bo wszystkie niemal potrawy trąciły więcej kuchnią włoską aniżeli naszą. Pierwsze danie była to niby szynka, czyli raczej wędzona wołowina z oliwą i pieprzem, potem rosół dość smaczny z ryżem, potem wyborna wołowina bez sosu, po której dano potrawkę podobną do polskich flaków z sosem z jabłek rajskich i z papryki. Po potrawce z buraków i surowej cebuli w oliwie pływającej dano jeszcze pieczone kurczęta i jakąś tam suchą pieczeń nieznaną.

— Wino czarne i białe (*nero e bianco*) dość dobrze smakowało, bo było dość stare i wytrawne. Bonifratrzy posiadają własne winnice i ogrody z owocami, które nam zwłaszcza świeże figi także dobrze smakowały. Podczas obiadu toczyła się rozmowa po łacinie, który to język księży dość dobrze znają, ale braciszkanie tylko po włosku mówią. Nasz gospodarz był bardzo grzeczny, a my bawiliśmy go różnymi rozprawkami z naszych krajów i ciekawymi anekdotkami. Po obiedzie zaprowadził nas do swego ładnie meblowanego pokoju i częstował nas najprzód wódką, a potem wyborną kawą czarną. Potem poprowadzał nas po salach wypełnionych chorymi, i po kościele, który niewielki, ale ładny i równie jako sale pysznie malowany. Na koniec dowiedziawszy się, że nazajutrz wybieramy się do Neapolu, napisał nam list do tamtejszego przeora klasztoru bonifratrów, obdarował nas na pamiątkę obrazeczkami i po bratersku pożegnał się z nami. — Nim opuściliśmy klasztor, zbliżył się do nas braciszek i przemówił do nas po polsku, co nas nie mało rozweseliło, żeśmy mogli z nim pogawędzić w języku naszym. Był to jeden z wygnanych z Rosji reformatów, który tu szukał przytułku i prosił nas, żebyśmy się przyczynili zanim u generała Alfieri, aby go potrzymał w swoim klasztorze, co nam też ten godny kapłan przyrzekł, jeśliby się Polak dobrze zachował. (s. 221—223)

Neapol

Jego rozkoszne położenie nad ślicznym Morza Śródziemnego portem zachwyca przychodnia i w osłupienie wprawia. Dawniejsi i nowsi poeci i pisarze bujają sobie w odmalowaniu tego rozkosznego położenia, sławny łaciński i włoski poeta Sannazar powiada: że to jest kawał nieba, który spadł na ziemię (*un pezzo del cielo caduto alla terra*), Przysłowie zaś mówi: „Obacz Neapol a potem umrzyj” (*Napoli vedere e poi morir*), a niemiecki poeta Goethe twierdzi, że kto raz widział Neapol, nie może być nieszczęśliwym! — Ja nie wiem, co rzec na to wszystko, albowiem i ja widziałem te czarujące rozkosze, ale nie przyszło mi na myśl chcieć umrzeć albo uważać się za tak szczęśliwego człowieka, żebym już nie miał żadnego innego życzenia, bo w niebie przecie jeszcze daleko piękniej być musi, aniżeli tu w tym ziemskim raju! — Zresztą nie wszystko złoto, co się świeci; albowiem mimo wszelkich powabów znajdziesz w Neapolu, zwłaszcza w starym mieście, tyle nędzy i plugastwa, że zgroza na to pa-

trzeć. Rząd terażniejszy kasuje i burzy klasztory i wypędza zakonników i zakonnice, a na lud nakłada podatki, których ten płacić nie zdoła. Uciemężone pospólstwo klnie i złorzeczy, a nie mając zarobku, kradnie, co może. *Lazzaroni* na pół nadzy żywią się z przypadkowych zarobków za drobne usługi przychodniom wyświadczone. Z tej strony niewiele ma powabów ten świetny Neapol!

W piękniejszym świetle pokazuje się wierzchni, nowy oddział miasta Neapolu, tu bowiem znajdziesz ład i przepych w stroju i w całym życiu publicznym. Tu wspaniałe pałace i kamienice trzy- i sześciopiętrowe z balkonami i sklepy wypełnione towarami i przedmiotami przepychu. Zwłaszcza odznaczają się tu nieustannym ruchem i żywością dwie główne ulice, tj. Toledo i Chijaja, po których przejeżdżają się wspaniałe pojazdy z taką szybkością, że aż iskry tryskają z bruków. Na rogach ulicy zasiadają wekslarze, którzy w drucianych klateczkach wystawiają na miseczkach złote i srebrne monety. Na wielu miejscach stoją kramiki podobne do ołtarzyków: malowana niby budka z słupkami na wierzchu, łukiem spojenymi z obrazem Matki Boskiej, wypełniona jest cytrynami i pomarańczami [...]. Dalej znajdziesz targi na jarzyny i jabłka rajskie (*pomi d'oro*), które sprzedawcze przechodzącym z krzykiem zalecają. Na innym placu jest piramida wielkich szyszek pinelowych, które w ogniu pieką albo suszą i z nich dobywają jądra mające smak migdałów. (s. 228—229)

Na Wezuwiusz prowadzi droga przez Portici i Rezinę. Tu przy willi Favorita znajdziesz przewodników, konie i osły do wyjazdu na górę: aż do austerii pod nazwiskiem pustelni można nawet i powozem dojechać. Tu zwyczajnie posilają się podróżni potrawkami i winem ladajakim, które filut gospodarz w habicie pustelnika drogo sobie zapłacić każe. Za pustelnią przybywa się do obserwatorium królewskiego, czyli gwiazdarni, gdzie wszelka wegetacja ustaje. Kto konno jeździć nie umie albo karku złamać nie chce, niechaj się pieszo puści w dalszą drogę. Przy stajni, gdzie zostawują się konie i osły, znajdziesz ludzi do wyniesienia cię na krzesło, wyciągania na rzemieniach albo popychania z tyłu pewnym wideł rodzajem. Stroma droga miękkim piaskiem, czyli raczej popiołem pokryta, nie pozwala szybko postępować, bo za każdym krokiem zsuwasz się znów nazad, a podpora tonie w głębię bezdenną. I tak trzeba brnąć w tej miałczyźnie aż do krateru, czyli czary wulkanu. [...]

Za naszym pobyt w Neapolu zachował się wulkan zupełnie spokojny, tylko około zachodu słońca spostrzec się dał cienki słup dymowy. Gdy wulkan spokojny, można po części zleźć do krateru, jak to już niektórzy śmiałkowicie, zwłaszcza Anglicy, próbowali. [...] Jeśli już wychód na górę jest przykry, to może jeszcze przykrzejszy i niebezpieczniejszy schód z tejże, i niejeden już na pośladku zjechał z góry na dół. [...]

Ku wieczorowi dn. 2 lipca stanęliśmy w dworcu kolei w Neapolu i pojechali natychmiast dorożką pod dzwonekami do klasztoru bonifratrów, do których mieliśmy polecający list od generała bonifratrów z Rzymu Alfieriego i którzy nas gościnnie przyjęli, naznaczawszy każdemu osobną celę. Klasztor jest to gmach obszerny, trzypiętrowy z wygodnymi i ładnie malowanymi salami dla chorych i dość porządnym kościołem z kopułą. Skoro tylko wytchnęliśmy nieco z podróży 60-milowej, udaliśmy się natychmiast do zatoki morskiej, gdzie znaleźliśmy, zwłaszcza że to była niedziela, niezliczone mnóstwo bawiącego się ludu miejskiego i wiejskiego. Jedni przechodzili się i przejeżdżali po nadbrzeżu, inni pływali w łódkach na morzu, inni toczyli się, gwarząc między budami, gdzie sprzedawano napoje i potrawy, zwłaszcza raki morskie i ostrzygi. Tu pierwszy raz w życiu widziałem dość wielkie ostrzygi czerwone i już miałem ochotę kupić sobie, ale widząc, jako sprzedawcze brudnymi palcami w nich paprali, odechciało mi się tych przysmaków. Na zmierzchu okazały się w powietrzu oświetlone balony, które kieby gwiazdy migały na wysokości i zwolna spadały na morze i gasły. — Wracając do naszego klasztoru, przechodziliśmy przez kilka ciasnych i brudnych ulic starego miasta, w których same mieszka ubóstwo i gdzie wiele znaleźliśmy nieładu i plugastwa. Na ulicach rozleguje się lud na pół nagi, dorośli i dzieci, wraz z osłami, mułami, kozami, psami i innymi domowymi zwierzętami. Gdzieś nad drzwiami obraz Matki Boskiej, przed którym paliła się lampka, a na bruku siedzieli *lazzaroni*, grając w karty. — Dalej na głównej ulicy spotkaliśmy człowieka, który na głowie niósł trumnę z przyczepioną do niej latarnią i z krzykiem torował sobie drogę w tłumie. Na zapytanie dowiedzieliśmy się, że tu biednych umarłych w ten sposób przenoszą do domu śmierci ze szpitalów. Po takich smutnych spotkaniach wróciliśmy do klasztoru, gdzie nas na kolację ugoszczono mięsiwem i owocami i poczęstowano winem, po którym smacznie przespaliśmy się. (s. 237—239)

Pompeja

Teraz dopiero postępuję do opisanie tych szczegółów, któreśmy własnymi oczami widzieli. Z kolei poszliśmy przez ogród do austerii pod nazwiskiem Diomeda, skąd się zwyczajnie zaczyna zwiedzenie miasta martwego. Po skromnym śniadaniu udaliśmy się nieco do góry ku domku urzędnika, na którego rękę złożyliśmy dwa franki za pozwolenie zwiedzenia miasta (w niedzielę nic się nie płaci), a trzy inne za plan odkrywek dla orientowania się w obchodach. Na przewodnika dał nam urzędnik wysłużonego żołnierza, który już po kilkaset razy oprowadzał obcych i dziwaczne w objaśnieniu miejsc przedmiotom i domom dawał nazwiska, np. „tu była kawiarnia” — a przecie Pompejanie jeszcze nie znali kawy. Przewodnikowi nic się nie płaci za jego fatywę, lecz flut stąd wiedział korzystać, że nam po oprowadzeniu za drogie pieniądze sprzedał obrazki fotograficzne. Obchód nasz zaczęliśmy w następującej kolei. Zaraz z początku po prawej ręce wprowadził nas do bazyliki, gmachu 192 stopy długiego a 72 szerokiego. Na zewnętrznej ścianie dwakroć czerwoną farbą napisane jest „basilica”, ale ten napis niezawodnie z nowszych pochodzi czasów. Około ścian prowadzi ganek między filarami i kolumnami, a w środku gmachu stoją dwa szeregi kolumn, które dawniej dach dźwigały. Trybuna na 7-stopniowym podniesieniu ozdobiona jest 6 kolumnami a pod nią znajdują się podziemne więzienia, w których znaleziono 3 szkielety z okowami na kościanych rękach. (s. 248—249)

Na koniec zaprowadził nas przewodnik do jednej sali pod zamknięciem, w której znaleźliśmy niektóre w całość poustawiane szkielety ludzi i psów, a w trzech skrzyniach szklanych całe postacie ludzkie, tj. w jednej skrzyni mężczyznę, w drugiej niewiastę, a w trzeciej dwie dziewczyny może piętnastoletnie, i nazwał te figury petrofaktami, czyli skamieniałościami. Lecz to jest błąd, bo to nie są żadne skamieniałości, ale raczej odlewy gipsowe, które neapolitański badacz starożytności Fiorelli w ten sposób wykonywa. Gdy kopacze odkrywają jaką bryłę stwardniałego popiołu, w której spodziewają się szkieletu, otwiera ów wspomniany badacz z ostrożnością tę skorupę i wydobywa z niej pozostałe kości człowieka, tak że mu sama tylko zostaje forma całej postaci człowieka, do której potem otworem leje gips rozpuszczony, a skoro ten stwardnie, rozbija ostrożnie skorupę i tak wychodzi na jaw cała figura.

Tak tedy poobchodziliśmy to martwe miasto i pooglądali te smutne zabytki blisko dwutysięcznej starożytności; śmiertelne milczenie panowało wokoło, jedno tylko ćwierkanie świerczków dało się słyszeć niekiedy; żywej duszy nie spotkaliśmy nigdzie, chyba że wiły nam się pod nogami niezliczone szare jaszczurki, niektóre na całą stopę długie, albo latały nad głowami motyle pstrokate. Niewiele potrzeba, aby to miasto martwe znów ożywić i zaludnić, lecz rząd nie pozwala tego.

Czytałem o pewnym Angliku, który dawnych czasów osiadł tu, za pozwoleniem rządu odbudowawszy dom jeden; ubierał się z rodziną i służącymi po staroświecku w długie szaty Pompejanów, ale przy tym jadał swoje budynie i byfsztyki, aż mu się tutejsze życie obmierzło. Za naszego pobytu w Pompei nie widzieliśmy żadnych postępów w dalszym odkrywaniu miasta, lecz w miesiącu sierpniu czytałem już w domu w gazetach, że odkryto bałwochwalnię Junony z przeszło 300 szkieletów niewiast i dzieci, które w czasie katastrofy udały się do świątynicy dla uproszenia bogini o opiekę i pogrzebane zostały w gorącym popiele wulkanu. Jeden szkielet odznaczający się klejnotami uważano za szkielet kapłanki, zwłaszcza dlatego, iż przy nim znajdowało się naczynie do kadzenia, napełnione węglami i wonnościami. (s. 258—259)

Florencja

Przez dwa dni bawiliśmy w Florencji, lecz takie nam tu dokuczało gorąco, żeśmy zaledwo opisane kościoły i pałace zwiedzić mogli, a za miasto wcale nie wyszli. [...] Dn. 8 lipca opuściliśmy Florencję i jechali znów przez Pistoję i Apeniny Toskańskie do Bolonii, a stąd dalej do Mediolanu. (s. 274)

Mediolan

Krótki był nasz pobyt w Mediolanie, bo tylko półtora dnia bawiliśmy tutaj. — Skoro tylko ulokowaliśmy się w hotelu i ochłodzili nieco z podróży, natychmiast udaliśmy się do pobliskiego kościoła katedralnego, którego zewnętrzna i wewnętrzna budowa w osłupienie nas wprawiła. Obejrawszy się potem nieco po mieście wróciliśmy do hotelu, gdzieśmy smaczną zjedli kolację, a jeszcze smaczniej się przespałi. Nazajutrz wczesną rano poszliśmy do katedry w celu odprawienia mszy świętej, ponieważ była niedziela. Zakrystian przejrawszy nasze rzymskie świadectwa

oświadczył nam, że w katedrze nie wolno odprawiać mszy św., tylko w samej krypcie św. Karola, gdzie jeden tylko ołtarz znajduje się nad grobem świętego. Z radością zstąpiliśmy do kaplicy podziemnej, ale tu już odprawiał ksiądz jeden, a sześciu innych czekało ze mszami. Darmo czekać tak długo, ażby na nas przyszła kolej, więc grzeczny sługa kościelny zaprowadził nas do małego kościółka, gdzie zwykle odprawiał św. Karol i tu celebrowaliśmy wszyscy trzej razem. Po śniadaniu wyjechaliśmy pojazdem naszego gospodarza za miasto dla oglądania bramy tryumfalnej, lecz dla nieznośnego skwaru nie mogliśmy tu długo bawić, zwłaszcza że ta brama stoi w szczerym piaszczystym polu, więc wróciliśmy niebawem do miasta dla zwiedzenia wyżej opisanych kościołów i byliśmy w jednym na sumie, która się odprawiała w obrządku ambrojańskim. W refektarzu klasztoru św. Marii Łaskawej przypatrywaliśmy się obrazowi Leonarda da Vinci *Wieczery Pańskiej* i kupili sobie małe kopijki tego sławnego obrazu. Potem przejechaliśmy kilka ulic miasta, zwiedzili galerię obrazów w pałacu Brera i wrócili do domu na obiad, który nam po tej wycieczce nieźle smakował. Odprawiona sjesta pokrzepiła nas do nowej wycieczki na miasto, lecz tu nie widzieliśmy wiele, bo sklepy były pozamykane, ponieważ była niedziela. Tłum ludu wychodził albo wyjeżdżał za miasto na zabawę, lecz my gorącem i obieganiem znużeni, niechcąc się więcej zeszamotać, usiedliśmy pod kawiarnią i chłodzili się lodami i limonatą. Przy kolacji kosztowaliśmy wina Lacrimae Christi, które nam nieźle smakowało, bo było słodkie, ale cokolwiek tęgie. Nazajutrz w poniedziałek obeszlśmy jeszcze część miasta i zwiedzili kościół katedralny dla podziękowania Bogu za wyświadczone nam dotychczas dobrodziejstwa, zwłaszcza za użyczenie nam zdrowia w naszej podróży i uproszenia pomyślności na dalszą drogę. (s. 283—285)

Powrót

Po obiedzie wyruszyliśmy znowu koleją i jechali aż do Lipska na nocleg. Tu rozłączyliśmy się nazajutrz; moi współtowarzysze podróży, tj. ks. dziekan Pressfreund i kapelan ks. Gałuszka, pojechali do Drezna, a ja, pragnąc zwiedzić rezydencję króla pruskiego, postanowiłem jechać do Berlina. Po śniadaniu wsiałem do powozu z przewodnikiem, który mnie oprowadzał po mieście i za miastem, pokazując pozostałe pomniki z ostatniej bitwy r. 1813. Szczególnie zastanowiłem się nad prostym

kamieniem oznaczającym miejsce, gdzie księżę Józef Poniatowski po utonięciu w Elsterze wydobyty został. Ciało jego spoczywało tu w Lipsku, a później przeniesione zostało do Krakowa, gdzie dziś w krypcie katedry na Zamku spoczywa obok króla Jana Sobieskiego i Tadeusza Kościuszki.

Potem udałem się na kolej, która mnie około 11 do Berlina przeniosła i gdzie mój pocziwy współbrat ks. kapelan Thejmert, o moim przybyciu zawiadomiony, z radością powitał rzymskiego pielgrzyma i przyjął w gospodę. — Wyznać muszę, że po widzeniu tylu starożytnych miast włoskich, to nowe miasto z swymi prostymi, długimi i porządnie wybrukowanymi ulicami, ze swymi wspaniałymi pałacami, kamienicami i willami, dziwne na mnie wywarło wrażenie, zwłaszcza że je pierwszy raz w życiu widziałem. Berlin jest istotnie ładne miasto, lecz te parę kościołów katolickich nie podobały mi się wcale i żadną miarą z włoskimi porównane być nie mogą. Główny kościół św. Jadwigi ma to być niby rotunda do rzymskiego Panteonu podobna, ale istotnie wygląda zewnątrz jak przewrócona filizanka, a wewnątrz ze swymi tarasowymi ławkami więcej do teatru aniżeli do kościoła jest podobne. — Przez trzy dni całe bawiłem w Berlinie, a mój kochany Manuś wysiłał się w uprzyjemnieniu mego pobytu. Oprawdzał mnie po mieście, po muzeach i galeriach obrazów, po publicznych ogrodach i po zwierzyńcu. Byliśmy w Szarlottenburku dla oglądania mauzoleum, gdzie jest wspaniały pośmiertny pomnik króla Fryderyka Wilhelma III i jego małżonki królowej Luizy, których ciała spoczywają w krypcie. Byliśmy w Poczdamie w kościele pokoju, gdzie spoczywa król Fryderyk Wilhelm IV, dalej w Sans-Souci w królewskim pałacu, następnie w tak zwanej sali Rafaela, w której znajduje się znaczny zbiór kopiowanych obrazów tego sławnego malarza. Najwięcej zadowolnił mnie w Szarlottenhof tak nazwany dom ogrodnika, wystawiony zupełnie podług planu domu króla pruskiego w Pompei — i jeszcze więcej widzieliśmy pałaców, posągów i innych ciekawości, których jednak opisanie do tego dziełka nie należy. [...]

Dn. 17 lipca krótko przed północą pożegnałem Berlin [...], a nazajutrz ku wieczorowi po blisko pięciotygodniowej nieobecności powróciłem do moich kochanych Michałkowic, gdzie mnie moi domownicy, a następnie księża sąsiedzi i parafianie radośnie i czule powitali. (s. 289—290)

Żywe wyobrażenie Męki Pańskiej w Oberammergau z własnego widzenia (fragmenty)

Oberammergau jest to wioska w górach bawarskich nad potokiem Ammer, licząca blisko 1 200 mieszkańców, którzy większą częścią żyją z wyrobów snycerskich i te sławne wyroby: krucyfiksy, statuy, posążki, obrazki i inne drobiazgi, że tak rzekę, po całym świecie roznoszą, i w naszych okolicach już dosyć takich świętobliwych towarów posprzedawali. Słyszałem, że te towary nawet do Ameryki przesyłają. — W tej wiosce odgrywa się już od dwóch wieków Pasja, czyli Męka Pańska w żywych obrazach z następującego powodu. Roku 1633 panowała w poniższych wioskach okropna zaraza między ludem, która się i w góry, aż do Oberammergau wkradła i wkrótce kilkadziesiąt ofiar zabrała. W tej dolegliwości udał się pobożny i dobroduszny ludek do Boga o pomoc, a gdy zaraza ustała, uczynili mieszkańcy ślub uroczysty, że na wieczną pamiątkę i na podziękowanie Bogu za ratunek co 10 lat odgrywać będą Pasję w żywych obrazach, co też już następnego roku 1634 po raz pierwszy wykonali i toż samo po każdym upływie lat 10 powtarzali.

To widowisko odprawiało się z początku na cmentarzu ku zbudowaniu samych tylko mieszkańców miejscowych, aż w przeciągu czasu poczęli się na tę świętą zabawę zgromadzać mieszkańcy z bliższej i dalszej okolicy, od których pobierano szczupłe daniny na utrzymanie teatru i sporządzenie ubioru stosownego. Rząd bawarski, dowiedziawszy się o tym, zakazał to odgrywanie Pasji i tak przez długi czas zawieszone zostało. Kilkakrotne deputacje do rządu z prośbą o pozwolenie dalszego odgrywania bezskuteczne zostały, aż dopiero król Maksymilian I łaskawie zezwolił, co także i następcy jego uchwalili i zwierzchność duchowna potwierdziła. A tak roku 1811 na nowo odprawiło się to widowisko

z wielką uroczystością. Najświetniej jednak odprawia się to żywe wyobrażenie Męki Pańskiej od roku 1830 podług wierszem ułożonego dramatu.

Pierwszy autor tego dramatu nie jest znany, to jednak pewna, że zakonnicy św. Benedykta w pobliskim klasztorze Ettal trudnili się wypracowaniem jego i sami brali udział w odgrywaniu. Największą zaś zasługę w uporządkowaniu tego dramatu zjednał sobie proboszcz z Jesewang ks. Ottomar Weiss, były zakonnik w klasztorze Ettal (umarł 1843. r.), a po nim ks. proboszcz ammergauski Alojzy Daisenberger. Ci dwaj uczeni kapłani przerobili cały dramat na nowo, powyrzucali z niego wszystkie nieprzystojne sceny i niezgrabne wiersze, i wprowadzili weń fakta biblijne i śpiewy nabożne, do których dodał nuty muzyczne ówczesny organista ammergauski Roch Dedler. Ponieważ z mnożeniem się widzów cmentarz koło kościoła okazał się za ciasny, przeniesiono więc roku 1830 teatr na wielką łąkę za wieś w stronę północno-zachodnią, i tu zbudowano go na wzór starodawnych teatrów greckich. Przedstawia nam się tu olbrzymi gmach tarcicowy, ze wszech stron w wschody zaopatrzony i po części dachem nakryty. Wstąpisz do tego gmachu, zadziwia cię ogromna przestrzeń amfiteatralna, która 6000 osób umieścić może. Pod samą sceną urządzone jest miejsce dla orkiestry, a stąd podnoszą się w tył coraz wyżej nienakryte ławy dla widzów, a kończą się w górze w tak nazwane loże, przednie miejsca dla widzów, dachem nakryte. Scenę na wzór starodawnych teatrów greckich urządzoną, stanowi najprzód tak zwane *proscenium*, miejsce podwyższone, otwarte, 80 stóp szerokie, a 20 stóp głębokie, przeznaczone dla chóru śpiewaków i dla aktorów, odgrywających dramat pasyjny. Za tą przestrzenią podnosi się zabudowana scena właściwa z kurtyną, za którą pokazują się żywe obrazy i odgrywają się niektóre akty z Męki Pańskiej, jako to posiedzenie rady, umywanie nóg, wieczerza Pańska i inne. Z obu stron kurtyny stoją dwa domy z gankami, czyli balkonami, tj. po lewej dom starosty Piłata, a po prawej dom najwyższego kapłana Annasza. Obok tych domów otwierają się dwie bramy z łukami, przez które okazują się ulice miasta Jerozolimy.

Dramat Męki Pańskiej dzieli się na dwie części, tj. na zagajenie aktu i na sam akt. Zagajenie stanowią żywe obrazy ze Starego Testamentu, niby figury odwołujące się do Męki Pańskiej, sam zaś akt przedstawia wyobrażenie tej Męki Pańskiej tak, że jedno uzupełnia drugie. Prócz tego dzieli się cały dramat na trzy główne oddziały i na siedemnaście aktów.

Przed każdym aktem występuje z pobocznych kulis chór śpiewaków płci obojej, którzy tu zowią się *geniuszami* i opiewują z towarzyszeniem orkiestry, częścią wszyscy razem, częścią na przemian, najprzód porównywającą figurę Starego Testamentu, przechodząc potem do istotnego wyobrażenia Męki Pańskiej. Po odśpiewaniu dzielą się na dwie części, poczawszy od środka i cofają się dla otwarcia widoku na scenę ku kurtynie, która teraz podnosi się w górę i uderza na ciebie żywy obraz porządnie uszykowanych figur, na których nie spostrzeżesz najmniejszego ruchu, jakoby z wosku były wyrobione. A skoro chór w śpiewie nadmieni następujący akt z pasji, spuszcza się kurtyna, śpiewacy znów stawają w prostym rzędzie i dośpiewawszy do końca wracają za kulisy, orkiestra zamilknie i zaczyna się przedstawienie aktu z Męki Pańskiej. Tak powtarza się wszystko aż do końca.

Chór śpiewaków, czyli geniuszów, składa się z 20 osób płci obojej, którym przewodniczy *przedśpiewak*, czyli przedmówca i zawsze w pośrodku szeregu stoi. Ubiór geniuszów jest nieco fantastyczny i oboju płci jednaki. Na głowie noszą obrączki na wzór diademów, poniżej szerokie spodnie nad sandałami związane, a nad tymi tuniki, tj. cienkie, wierzchnie sukienki krótkie różnego koloru.

Wszystkie działające osoby są wyłącznie mieszkańcami gminy Oberammergau, a nawet i do orkiestry, którą kieruje nauczyciel miejscowy, nie przypuszczają żadnego obcego. Liczba działających wynosi przeszło 500 osób, między którymi widzisz dziatki o trzech latach, młodzież i wiek sędziwy. [...]

Rozumie się, że na głównych aktorów nie tylko takie wybierają osoby, które posiadają talent i zręczność do odgrywania tych przednich ról, ale też uważają i na to, aby te osoby i w powierzchownej postaci miały jakieś podobieństwo do oryginałów z czasów Chrystusowych. Tak na przykład Jezus odznacza się postacią poważną, twarzą łagodną, brodą ciemną z faworytami zrośnioną, włosami ciemnymi i długimi, gładko uczesanymi i w tyle do szyi przylgniętymi, podczas gdy Piotr występuje łyśsy, z czuprynką nad czołem, a Judasz rudobrody. Także i stroje apostołów i niewiast, najwyższych kapłanów i członków rady przystosowane są do czasów Chrystusowych.

Dramat pasyjny odgrywa się w miesiącach od maja aż do września, zwykle w niedziele, lecz gdy liczba zgromadzonych widzów prze-

nosi 6 000, ile teatr umieścić może, to następnego dnia powtarzają całe to widowisko.

[...] Cała ta odprawa trwa od 8 z rana aż do 5 godziny po południu, tylko około południa następuje odpoczynek jednej godziny. [...] Oberammergauowianie znaczne dochody z tego widowiska pobierają, z których jednak tylko trzecią część otrzymują aktorowie, a reszta obraca się na utrzymanie teatru i na zakłady dobroczynne.

[...] Z reszty założony jest tak nazwany fundusz pasjonalny, którego procenta obracają na potrzeby gminne.

Po tej ogólnej uwadze postępuję do opisanie tego, co sam doświadczyłem, co widziałem i słyszałem, a najprzód pokażę czytelnikom, których by napadła chęć zwiedzenia tego miejsca, dróg do Oberammergau.

Podróż do Oberammergau

Gdy roku 1860 pewien godny, już nieżyjący kapłan z entuzjazmem opowiadał nam, co to pięknego widział w Oberammergau, powziąłem i ja pierwszą myśl pielgrzymowania na to w całym świecie znane miejsce i dziękuję Bogu za to, że mi pozwolił dożyć i wykonać moje przedsięwzięcie. Obrawszy sobie najbliższą i najwygodniejszą drogę na to od nas na 120 mil dalekie miejsce, wyjechałem dnia 21 czerwca z Michałkowic kolejną do Wiednia, a stamtąd przez Linz do Salzburga, a stąd znów do Mnichowa jako miasta centralnego, z którego wszczyna się właściwa wyprawa do Oberammergau. Niektórzy podróżni, którym nie chodzi o kilka talarów więcej, już tu najmują sobie furmanki wygodne, ale drogie, którymi jadą aż na miejsce. Większa część podróżnych jedzie taniej kolejną, co i ja uczyniłem. Z Mnichowa, skąd liczy się jeszcze 15 mil aż na miejsce, wyruszyliśmy około 7 godziny z wieczora i jechaliśmy przez Starnberg aż do Weilheim, gdzie przybyliśmy o pół do dziewiątej. Tu co tchu trzeba sobie na poczcie zakupić miejsce aż do Oberau, co niewiele kosztuje, bo zapłaciłem tylko 1 reński i 27 grajcarów. Za to wpakowali nas dziesięciu do brzucha ciasnego i niewygodnego omnibusa pocztowego i tak jechaliśmy aż do miasta Murnau, gdzie właśnie o północy stanęliśmy. Jedna część pasażerów została tu na noclegu, aby nazajutrz puścić się piechotą przez góry; my zaś słabsi jechaliśmy dalej w tej męczarni aż

do Oberau, gdzieśmy z deszczem o godzinie 3 po północy przybyli. Tu kończy się trakt pocztowy, ale grzeczny poczthalter wynajmuje furmanki do dalszej podróży w góry, jednak wyprasza sobie, aby pod górę, na 2 700 stóp wysoką, pasażery powysiadali, bo konie zaledwo próżną brykę wyciągnąć potrafią. Dla Boga! co tu robić? Ja stary podagryk miałem się blisko całą milę piechotą pięć pod górę? To niepodobna! — deszcz pada, droga śliska, a nocować nie można, bo dom poczthaltera, który zarazem jest karczmą, wypełniony jest pielgrzymami. Tedy udałem się z prośbą do gospodarza, aby mi najął osobną furmankę, niech kosztuje, co chce. Za zapłatą czterech reńskich i obietnicą poczestnego, stanął za pięć minut gotowy koczyk parokonny i wio dalej! — Pod górę wysiadł fornal i szedł piechotą, a ja siedziałem sobie jako pączek w maśle. Biedne koniska co chwilka odpoczywały i oddychały za wałkami, jakie się zwyczajnie na drogach podgórnych natrafiają. Deszcz ustał, ptastwo poczęło ożywiać las gruby. Za dobrą godzinę stanęliśmy na wierzchołku góry i nie za długo otworła się rajska okolica, a z prawej strony pokazał nam się klasztor benedyktynów Ettal z dwoma kopułami, teraz zniesiony i do hrabiego Pappenheim należący, który tu założył wielki browar i rozsyła dość smaczne piwo w bliższe i dalsze okolice. Cokolwiek dalej płynie po lewej stronie rzeka Ammer czyściuteńką wodą jak oko, a ledwo okrążyliśmy wysoką skałę po prawej, na której wykrzesana i odmalowana wielka głowa św. Piotra, spostrzegliśmy przed sobą wysoką wieżę z kościołem i kilkadziesiąt białych domków — to jest Oberammergau.

W piątek więc dnia 24 czerwca w dzień św. Jana Chrzciciela o godzinie 5 z rana stanąłem na celu mej podróży przed oberżą „Pod Złotą Gwiazdą”, gdzie jeszcze wszyscy spali. Zbudzony oberżysta imieniem Bader przyjął mnie grzecznie, ale mi oświadczył, że mnie w gospodę przyjąć nie może, bobym dla wielkiego natłoku w oberży żadnej nie miał wygody. Kazał mi na moment poczekać, a ubrawszy się zaprowadził mnie do sąsiada muzyka imieniem Bierling, który mnie ochoczo przyjął i ulokował w szczupłym pokoiku na piętrze, gdzie znalazłem najpotrzebniejsze sprzęty i czystą pościel. Przed domkiem ogródek z wysiadką, pod oknem szemrze strumyk Ammer, a za nim otwiera się widok na wioskę, a dalej na góry.

78 Szczęśliwy ze znalezienia wygodnego przytułku, zapomniałem fatygi całodziennej i całonocnej podróży, ubrałem się do sutanny i poszedłem

do kościoła parafialnego odprawić mszę św. na podziękowanie Bogu za szczęśliwe doprowadzenie mnie na miejsce pożądane. Kościół już wypełniony był ludem, obcy księża odprawiali mszę św., co i mnie się niezadługo poszczęściło.

Po dobrej kawie, którą mi grzeczna i dobroduszna gospodyni moja zgotowała, wypocząłem na chwilę, a potem wyszedłem na wieś. Słońce już było wysoko i piekło niemiłosiernie. Lud świątalnie ubrany garnał się zewsząd na jutrzejsze odegranie dramatu Męki Pańskiej, niektórym pochodom przewodniczyli księża, jakoby na miejsce święte. Domki, większą częścią kamienice po wierzchu powybielane i ładnymi obrazami pomalowane, kramy z towarami roboty snycerskiej, budy z obrazkami i książeczkami, inne z żywnością wszelkiego rodzaju — wszystko to dziwne na mnie sprawiło wrażenie. Przeszedłszy wieś całą aż na łąkę spostrzegłem gmach kolosalny z desek zbudowany, to jest teatr, który obejrzałem sobie dokładnie zewnątrz i wewnątrz.

Po obiedzie u mojej gospodyni udałem się jeszcze raz na krótki spoczynek, aż oto mój gospodarz przychodzi do mnie i pyta się, czy już mam bilet na jutro? A gdy odpowiedziałem jemu, że się dopiero myślę o taki postarać, oświadczył mi, że już 6 000 biletów jest rozprzedanych, a blisko 2 000 widzów nie dostały już biletów i czekać muszą aż do dnia następnego, w który się dramat powtarzać będzie, przeląknęłam się niemało, że i ja bez biletu zostanę. Lecz pocziwy mój gospodarz wręcza mi bilet II klasy, który dla mnie zakupił, za co uściskałem go z radości. Nie żałuję tego, że nie dostałem biletu do łóżów, bo właśnie mój bilet oznaczył mi miejsce przy samej orkiestrze, gdzie wszystko mogłem widzieć i słyszeć dokładnie. Z powodu niepewności znalezienia gospody i dostania biletu radziłbym tedy każdemu pielgrzymów do Amergau, aby sobie zawczasu, tj. kilka dni przedtem zamówił przez pocztę i gospodę, i bilet, na co ochoczo poświęcają się miejscowy proboszcz ks. Müller, rysownik p. Flunger, snycerze panowie Velt, Jan Lang, Grzegorz Zwink i inni. Kto się tak zawczasu zgłosi, może snadno i później wyjechać z domu.

Już wypełnione były ulice i domki przychodniami, gdy ku wieczorowi zabrzmiało kilka wystrzałów z moździerza na znak, że jutro odprawi się widowisko, co także i głośna muzyka zapowiada, która wśród tysięcy przychodniów toczy się przez wieś całą. Po oddzwonieniu na Anioł Pański udaje się wszystko na spoczynek, gdziekolwiek każdy schronić się

może pod dachem albo pod gołym niebem. W nocy nie słysząc żadnej wrzawy, żadnego krzyku karczemnego.

W sobotę dnia 25 ledwo zabłysł sępny poranek, znów wszystko było na nogach. Wystrzały z moździerzy i pochód muzyków przez wieś jak dnia wczorajszego zapowiadają znowu odegranie dramatu pasyjnego. Już od godziny 4 i wcześniej zaczynają się msze św. w zapełnionym kościele, księża słuchają spowiedzi, a między penitentami znajdują się także i główniejsi aktorowie, którzy przez spowiedź i komunię św. gotują się do całodziennnej pracy nabożnej. Około godziny 6 odprawia się msza wielka z muzyką, po której wysuwa się wszystko z kościoła i spieszy do teatru już gęsto zapełnionego. Zaraz po 7 i ja poszedłem i ledwo za pomocą mojego gospodarza, który należy do orkiestry, przedarłem się przez natłok na moje miejsce, gdzie około siebie znalazłem kilku nieznajomych księży, jakoż między wszystkimi widzami nie spostrzegłem ani jednej osoby znajomej.

Śliczny to widok sześciu tysięcy zgromadzonego i w jednej przestrzeni umieszczonego ludu płci obojej, różnych wyznań i stanów, poczynawszy od prostego wieśniaka aż do świetnego państwa. Są tu niemal wszystkie narody: Niemcy różnego państwa, Francuzi, Anglicy, Włochy, nawet i Turcy i Amerykanie. Widziałem nawet jednego popa, który już od kilku tygodni bawi tutaj z majątną rodziną rosyjską. Pomiędzy rozmaitym ubiorem zastanawiały mnie najwięcej wysokie futrzane czapki niewieście, podobne do francuskich bermyc, na wierzchu rozszczipione jak mitry biskupie, a w tym rozszczipie błyszczą haftowania złote i srebrne. Te magierki, które młode i stare niewiasty noszą w zimie i w lecie, nawet i w największe gorąco, pochodzą po części z najwyborniejszych futer i słyszałem, że niektóre kilkadziesiąt, nawet kilkaset reńskich kosztują.

Widze przynoszą z sobą do teatru torby z różnym mięsiwem, kobiałki z masłem i serem i butelki z winem dla zaspokojenia pana Żołądowskiego na 9 godzin. Ja biedny nie znając zwyczaju, nie wziąłem nic z sobą, ale mój pocziwy gospodarz zaopatrzył mnie w bułki i kiełbaski, a dobroduszne wieśniaczki, około mnie siedzące, raczyły mnie chlebem i serem, i częstowały winem.

Kilka minut przed ósmą hukły wystrzały, zabrzmiała wstępna muzyka i zaczął się dramat.

Objaśnienia

Młodzian nad strumieniem

Z Szyllera — Johann Christoph Friedrich von Schiller (1759—1805), niemiecki poeta i dramaturg
wał — fala

Amen kamieni

Kosegarten — Ludwig Gotthard Kosegarten (1758—1818), poeta niemiecki
Beda — (672—735) — angielski benedyktyn, uznany za świętego

Małgosia w mieście

kuprowaty — w kolorze miedzi, z łac. *cuprum* — miedź
Hestera — hetera, w starożytnej Grecji luksusowa kurtyzana
Kupidon — Kupidyn, Kupido, Amor, syn Wenus, w mitologii rzymskiej
 bożek miłości
Wenera — Wenus, w mitologii rzymskiej bogini piękna i miłości

Dlaczego Ewa pochodzi z zebra

popsnąć — potknąć się, pośliznąć

Wdzięczne zwierzęta

burdziak — ukr. *burdziuk*, bukłak

Na sekundycje X. Franciszka Heisig...

kielczki — z Kielczy, wsi w woj. opolskim, w powiecie strzeleckim
sekundycje — jubileusz 50-lecia kapłaństwa

Skórki. Żart na imieniny X. Pawła Skórki...

abelek — skórka cielęca

brandzol — brandzel, cienka, elastyczna skóra, służąca do okładania podeszwy wewnątrz obuwia i łącząca spód obuwia z jego wierzchem, z niemieckiego *brandsohle*

opiętki — opiętek, część buta zakrywająca piętę

księgowiąże — księgarze

rymarze — rzemieślnicy wytwarzający produkty ze skóry

opraty — lejce

astrakanem — astrachan, futro ze skórek barana astrachańskiego

bębny — chodzi o bębny garbarskie, używane do wyprawiania skóry

raciborskie skórki — listy zastawne [przypis autora]

centnar — cetnar, jednostka masy równa stu lub pięćdziesięciu kilogramom

Na sekundycje X. Karola Hergesell, proboszcza miedzińskiego

(w imieniu współbraci dziekaństwa pszczyńskiego)

miedzińskiego — Miedźna, wieś w powiecie pszczyńskim

Na imieniny X. Józefa Słowika, proboszcza żernickiego

vino bibunt homines, animalia caetera fontes — ludzie piją wino, zwierzęta wodę

żernickiego — Żernica, wieś na Śląsku w powiecie gliwickim

grefenberskie — Greifenberg, gmina w Bawarii (RFN), gdzie wytwarza się m.in. wino

węgrzyn — wino węgierskie

Śpiew akrostyczny na imieniny X. Michała Kani

akrostych — utwór wierszowany, w którym kolumny liter (najczęściej pierwszych w poszczególnych wersach) tworzą nowe słowa

Hic dies vere mihi festus, atras... — „ten dzień jest dla mnie świąteczny, rozproszą się troski” — z ody 14, ks. III Horacego

trawne — wytrawne

Gliwiczanki (Marcin Opitz)

Marcin Opitz — autorem wiersza, którego parafrazę stworzył ks. Stabik, nie jest słynny barokowy poeta niemiecki (1597—1639), ale autor współczesny Stabikowi. Zob. — A. Halor: *Żarty nieżarty księdza Stabika*. Siemianowice 1999, s. 77—82.

winnogorzanki — Winnagóra (Weinsberg), miasteczko wirtemberskie. O mieszczańkach tego miasteczka słynie ta powieść, iż gdy cesarz Konrad III roku 1140 obległ miasto, pozwolił niewiastom wydalić się z niego i zabrać z sobą, co by posiadały najdroższego; aż tu otwiera się brama, a każda niesie na barkach — męża swego, co tak zadowolniło cesarza, iż zniósłszy obłężenie wszystkim obywatelom darował życie [przypis autora]

Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych

Maksymilian — Maksymilian I, (1632—1867) arcyksiążę austriacki, cesarz meksykański, brat cesarza Franciszka Józefa, w latach 1863—1867 cesarz Meksyku

la piazetta grande — wł. wielki plac

cesarz Karol VI — Karol VI Habsburg (1685—1740)

Preszburg — niemiecka nazwa Bratysławy

admiral Dandolo — Andrea Dandolo (1306—1354), doża Wenecji

Kandia — dawna nazwa Heraklionu, miasta na Krecie

uva — wł. winogrono

aqua fresca — wł. zimna woda

chędożyć — czyścić

konfekciki — słodczyce

traktiernia — restauracja, jadłodajnia

Semmering — miejscowość w austriackich Alpach

Graz — miasto w Austrii, stolica Styrii

Guido Reni — (1575—1642), włoski malarz i grafik

Wiktor Emanuel — Wiktor Emanuel II, król Włoch w latach 1861—1878

Garibaldi — Giuseppe Garibaldi 1807—1882 włoski, rewolucjonista, żołnierz i polityk, działacz i bojownik na rzecz zjednoczenia Włoch

Solferino — miasto we Włoszech, miejsce bitwy 24 czerwca 1859 w wojnie francusko-austriackiej

konfesja — w świątyni grobowiec męczennika lub świętego
gradusy — stopnie
Laurahuta — huta Laura koło Siemianowic, wokół niej wyrosła najpierw robotnicza kolonia, potem gmina; dziś na terenie Siemianowic Śląskich
Celio — jedno z siedmiu wzgórz Rzymu
minorysta — minoryta, członek zakonu franciszkanów mniejszych
nona — z łac. dziewiąta, obrzęd kościelny odprawiany o godzinie dziewiątej
del Popolo — Piazza del Popolo, jeden z placów Rzymu
girandola — fajerwerk, iluminacja
Pincio — wzgórze w Rzymie
puzzolańska — ziemia gliniasto-żelazista, na terenach wulkanicznych
mensa — płyta ołtarza
tombola — loteria
fiatkowy — fiołkowy
skud — dawna moneta we Włoszech
nero e bianco — wł. czarne i białe
Sannazar — Jacopo Sannazaro (1458—1530), włoski poeta renesansowy.
lazzarony — z wł. *lazzarone*, próżniak, włóczęga
pinelowe — szyszki z limby
austeria — gospoda, karczma
petrofakt — petryfikat, przedmiot skamieniały
obrzędek ambrozjański — od imienia św. Ambrożego, praktykowany we włoskim Kościele katolickim
zeszamotać — zmęczyć się
Szarlotenburk — Charlottenbug, dzielnica Berlina z zabytkowym pałacem
Fryderyk Wilhelm III — (1770—1840), król pruski
Szarlotenhof — Charlottenhof, zabytkowa rezydencja w Poczdamie

Żywe wyobrażenie Męki Pańskiej w Oberammergau z własnego widzenia

Oberammergau — miejscowość w Niemczech, w Bawarii
snycerski — rzeźbiarski
Ettal — miejscowość w Bawarii

Podróż do Oberammergau

Mnichów — niem. München, Monachium

Starnberg, Weilheim, Oberau, Murnau — miejscowości w Bawarii

poczthalter — z niem. *Posthalter*, urzędnik pocztowy

bermyca — wysoka czapka wojskowa

Antoni Stabik

Wiersze
Wspomnienia z podróży

Summary

The book contains a selection of poems and fragments of memories from a journey to Italy and German Oberammergau, written and published in the nineteenth century by Antoni Stabik, a Silesian priest and poet. Born in 1807 in Mikołów, and ordained a priest in 1883, Stabik was a parish priest of the parish in Michałkowice (today a district in Siemianowice Śląskie) from 1843 to his death in 1887. He was an author of religious books and articles, as well as one of the first Silesian calendars. He was also a poet who published his texts in the press and a volume published in 1848 entitled *Żarty niezarty, czyli wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń*. He visited Italy two times, in 1864 and 1865, describing his impressions in a book *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych*, published in 1867 in Wrocław.

The very volume contains a selection of father Antoni Stabik's poems from *Żarty niezarty*, and fragments from *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych* as well as *Żywe wyobrażenia Męki Pańskiej w Oberammergau*. The fragments including author's own observations and reflections were chosen.

Antoni Stabik

Gedichte Reiseerinnerungen

Zusammenfassung

Das Buch beinhaltet ausgewählte Gedichte und Fragmente der Erinnerungen an die Reise nach Italien und nach dem deutschen Oberammergau, die im 19.Jh. von dem schlesischen Priester und Dichter — Antoni Stabik geschrieben und veröffentlicht wurden. Der in Mikołów (dt.: Nikolai) 1807 geborene und 1833 zum Priester geweihte Stabik war seit dem Jahr 1843 bis zu seinem Tode im Jahre 1887 Pfarrer der Pfarrei zu Michałkowice (heutiger Stadtbezirk von Siemianowice Śląskie (dt.: Siemianowitz)). Er war Verfasser von Büchern und Artikeln zur religiösen Thematik und von einem der ersten schlesischen Kalendern. Er war auch Dichter, der seine Werke in den Zeitungen und in dem im Jahre 1848 herausgegebenen Band *Żarty niezarty, czyli wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń* (dt.: *Scherze oder Verse über lustige und ernste Träume*) veröffentlichte. Stabik hat zweimal — im Jahre 1864 und 1865 — Italien besucht und hat seine Eindrücke in dem 1867 in Wrocław (dt.: Breslau) veröffentlichten Buch *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych* (dt.: *Erinnerungen an die Reise nach Ober- u. Niederitalien*) geschildert.

Das vorliegende Buch umfasst ausgewählte Gedichte von Antoni Stabik aus dem Band *Żarty niezarty* und Fragmente von *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych* und von dem Werk *Żywe wyobrażenia Męki Pańskiej w Oberammergau* (dt.: *Lebendige Darstellung des Leidens Christi in Oberammergau*). Die ausgewählten Fragmente beinhalten eigene Bemerkungen und Reflexionen des Autors.

Spis treści

Wprowadzenie 5

Ksiądz Antoni Stabik — Ślązak, kapłan, poeta 7

Nota bibliograficzna 24

Bibliografia (wybór) 25

Wiersze 27

[Komużbym miał poświęcić...] 29

Młodzian nad strumieniem (Z Szyllera) 30

Amen kamieni (Kosegarten) 31

Małgosia w mieście 32

Dlaczego Ewa pochodzi z żebra 33

Piękne kazanie 34

Wdzięczne zwierzęta (Powieść gminna) 35

Skarbołowcy (Powieść gminna) 37

Na sekundycje X. Franciszka Heisig, proboszcza kielczkiego (w imieniu parafian) 39

Skórki. Żart na imieniny X. Pawła Skórki, proboszcza tyskiego 40

Na sekundycje X. Karola Hergesell, proboszcza miedzińskiego (w imieniu współbraci dziekaństwa pszczyńskiego) 41

Na imieniny X. Józefa Słowika, proboszcza żernickiego. Vino bibunt homines, animalia caetera fontes 43

Na prymicje X. Bogumiła Kosmeli 44

Śpiew akrostyczny na imieniny X. Michała Kani 45

Gliwiczanki (Marcin Opitz) 47

Wspomnienia 51

Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych (fragmenty) 53

Żywe wyobrażenie Męki Pańskiej w Oberammergau z własnego widzenia
(fragmenty) 74

Objaśnienia 81

Summary 87

Zusammenfassung 88

Na okładce i stronie działowej *Wprowadzenie* wykorzystano fotografie będące własnością Parafii pw. św. Michała Archanioła w Siemianowicach Śląskich-Michałkowicach.

Rycinę na stronie działowej *Wiersze* reprodukujemy dzięki uprzejmości Redakcji Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Śląsk”. Rycinę tę drukowano w: A. Hałor: *Ballada o obronie Górnos Śląskiej Częstochowy*. „Śląsk” 2000, nr 1.



Za zgodę na zamieszczenie na stronie działowej *Wspomnienia...* fotokopii karty tytułowej zbioru ks. A. Stabika dziękujemy Antykwariatowi Atticus Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 20/22.

Redakcja: Barbara Konopka

Projektant okładki i stron działowych: Małgorzata Pleśniar

Redakcja techniczna: Barbara Arenhövel

Korekta: Mirosława Żłobińska

Łamanie: Grażyna Szewczyk

Copyright © 2013 by
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISSN 0208-6336

ISBN 978-83-226-2207-0

Wydawca

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice

www.wydawnictwo.us.edu.pl

e-mail: wydawus@us.edu.pl

Wydanie I. Ark. druk. 5,75. Ark. wyd. 4,5. Papier
offset. kl. III, 90 g Cena 20 zł (+ VAT)

Druk i oprawa: PPHU TOTEM s.c.

M. Rejnowski, J. Zamiara

ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław

Cena 20 zł
(+ VAT)



ISSN 0208-6336
ISBN 987-83-226-2207-0